

PORADNIK BIBLIOTEKARZA

MIESIĘCZNIK



12

Rok IX

WARSZAWA

1957 r.

STOWARZYSZENIE BIBLIOTEKARZY POLSKICH

Czytelnikom, Sympatykom i Współpracownikom naszego piśmnia oraz wszystkim Koleżankom i Kolegom — pracownikom bibliotek składamy z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 1958 serdeczne życzenia pomyślności osobistej i sukcesów w pracy zawodowej.

REDAKCJA „PORADNIKA BIBLIOTEKARZA”

T R E Ś Ć

ROMANA ŁUKASZEWSKA. Koła Przyjaciół Biblioteki	345
JADWIGA KOŁODZIEJSKA. Organizacja sieci bibliotek powszechnych w Polsce Ludowej	347
STANISŁAW SIEKIERSKI. Trzeba szukać nowych rozwiązań	351
Kącik porad dla bibliotekarzy szkolnych	353
MONIKA WARNEŃSKA. Moje biblioteki	354
Wśród książek:	
MONIKA WARNEŃSKA. Listy mazurskie (rec. H.D.)	359
MONIKA WARNEŃSKA. Dziewczyna z książką (rec. H.D.)	359
O „Zośce” i „Parasolu”. ALEKSANDER KAMIŃSKI. „Zośka” i „Parasol”. Opowieść o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerskich. (rec. H. Przewoska).	360
Pamiętniki żołnierzy baonu „Zośka”. Powstanie Warszawskie. (rec. H. Przewoska)	360
Dalsze dzieje wypraw krzyżowych. ZOFIA KOSSAK. Król trędowaty. Bez oręża. (rec. Anna Bańkowska)	365
ZOFIA VOGEL. Śladami Wyspiańskiego po Krakowie. W pięćdziesiąt rocznicę śmierci (1907—1957)	367
ZOFIA VOGEL. Tam gdzie odbyło się prawdziwe „Wesele”	371
Spis treści rocznika IX — 1957. Nr 1-12 (na wkładce)	

Redaguje: Komitet Redakcyjny

Wydawca: Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Koszykowa 28

Konto: PKO I-9-120056

Nakład 12.000 egzemplarzy. Papier druk V kl. 60 g. 70 × 100 cm. Objętość 2 ark. druk. Cena zł 3.—. Druk ukończono w styczniu 1958 r.

Warszawska Drukarnia Naukowa, Warszawa, Śniadeckich 8. Zam. 453 B-70

Romana Łukaszevska

KOŁA PRZYJACIÓŁ BIBLIOTEKI

W ostatnim okresie w dyskusjach nad sprawami kultury i oświaty sporo miejsca poświęca się roli biblioteki powszechnej jako placówki wychowania pozaszkolnego, samokształcenia, pogłębiania wiedzy. Mówi się o jej niedostatkach w tym względzie, wskazuje na duże możliwości biblioteki w rozwijaniu ogólnego ruchu kulturalnego. Wiele jest w tym słuszności. Szczególnie na wsi biblioteka ma wszelkie szanse, aby stać się ośrodkiem życia umysłowego i kulturalnego środowiska, w którym rozwija działalność. Aby to było możliwe musi ona spełniać szereg warunków.

Przede wszystkim musi posiadać odpowiednio dobrany księgozbiór, który z jednej strony jest w stanie zaspokoić potrzeby czytelników, z drugiej — budzić nowe zainteresowania, przyciągać swą atrakcyjnością tych, którzy stoją jeszcze z dala od książki i biblioteki. Księgozbiór ten musi być obsługiwany przez bibliotekarza, który go nie tylko dobrze zna, ale umie nim sprawnie operować, umie go w sposób właściwy podać czytelnikom, a więc musi być bibliotekarzem — pedagogiem.

Biblioteka musi posiadać odpowiedni lokal, który swoim estetycznym wyglądem, atmosferą spokoju i poważnej pracy przyciągać będzie czytelników.

Wymienione tu zostały tylko pewne sprawy warunkujące dobre działanie biblioteki. Nie chodzi o ich wyczerpanie ani dokładne omówienie. Celem artykułu jest zwrócenie uwagi, na jeden z warunków, na pewno niepośledniej wagi, a mianowicie na konieczność zainteresowania miejscowego społeczeństwa biblioteką, jej działalnością, sprawami czytelnictwa, na konieczność budzenia wśród mieszkańców przeświadczenia, że dobra jej działalność jest w dużym stopniu uzależniona od ich pomocy — przeświadczenia, że są jej współgospodarzami, w dużym stopniu odpowiedzialnymi za dobre wyniki jej pracy i mogącymi przyczynić się do stworzenia jej jak najlepszych warunków. Tylko w oparciu o żywe zainteresowanie i pomoc społeczeństwa biblioteka może spełnić swe zadania.

Trudna sytuacja finansowa i lokalowa bibliotek wymaga aktywnej pomocy społeczeństwa. I tutaj społeczeństwo wykazuje duże zrozumienie. Coraz częściej czytelnicy zgłaszają chęć przyjsia z pomocą finansową bibliotekom, wyrażają nawet gotowość wnoszenia określonych opłat za korzystanie z księgozbiorów. Czy to jest konieczne?

Wśród bibliotekarzy zdania są podzielone. Mamy gorących zwolenników wprowadzenia opłat za korzystanie z publicznych bibliotek powszechnych — mamy też zdecydowanych tego przeciwników. Ci ostatni twierdzą, że bezpłatność bibliotek jest tak wielkim osiągnięciem, stawia je w rzędzie podstawowych placówek krzewienia oświaty, że wprowadzenie odpłatności za korzystanie z nich byłoby wielkim krokiem wstecz.

Moim zdaniem ci ostatni mają słuszną rację. Istnieją przecież inne sposoby przyjscia z pomocą bibliotekom i to nie tylko z pomocą finansową, ale przez współdziałanie w rozlicznych jej pracach. Mam tutaj na myśli Koła Przyjaciół Bibliotek i ich działalność. Koła te posiadają już tradycje sięgające wiele lat wstecz i to dobre tradycje. Trzeba tylko umieć do nich sięgnąć i korzystać z nich. Są bibliotekarze, którzy już podjęli inicjatywę w tym względzie, którzy rozumieją, że skupienie koła biblioteki grona jej przyjaciół stworzy dopiero korzystne warunki dla rozwijania systematycznego i skutecznego czytelnictwa w środowisku.

Co wchodzi w zakres działania Koła Przyjaciół?

W praktyce wygląda to bardzo rozmaicie. Jedno trzeba stwierdzić niewątpliwie, że w ostatnim okresie działalność Kół skupia się przede wszystkim na zapewnieniu bibliotece dopływu nowości. Wypływa to oczywiście z niedostatecznego zaopatrzenia bibliotek w atrakcyjne, poszukiwane pozycje — ale wypływa również z niezrozumienia zadań i roli Kół Przyjaciół.

Są Koła które tego rodzaju działalność postawiły sobie za główne i jedyne zadanie. Tak na przykład pracuje Koło Przyjaciół przy jednej z bibliotek miejskich woj. wrocławskiego. Członkowie jego wpłacają dosyć duże składki miesięczne, przeciętnie 4 zł a nawet i do 20 złotych. Robią to chętnie — stawiają tylko warunek, aby mieli pierwszeństwo przy wypożyczaniu nowości zakupionych z tych funduszy. Drugim stawianym przez nich warunkiem jest, aby nie absorbowano ich żadną pracą na rzecz biblioteki, nie zapraszano na zebrania — uważają, że wpłacając składki dostatecznie wypełniają swe obowiązki jako członkowie Koła. Trzeba przyznać, że kwoty uzyskane tą drogą na zakup książek przedstawiają się dość imponująco: w ciągu ubiegłego roku osiągnięto sumę 18.000 zł, podczas gdy budżet biblioteki na ten cel wynosił 16.000 zł.

Ale czy takie zawężenie działalności Koła jest słuszne?

Na pewno nie. Bibliotece potrzebna jest szersza działalność Koła.

W tym samym województwie wrocławskim miałam możliwość uczestniczyć w zebraniu Zarządu Koła przy innej bibliotece. Koło posiada 1500 członków (na 4.000 czytelników). Na zebraniu Zarządu omawiano plan pracy Koła na najbliższą przyszłość. Miałam również możliwość usłyszeć, że Koło zorganizowało już 2 imprezy dla czytelników, że w najbliższym czasie projektują nową imprezę poświęconą współczesnemu malarstwu; w szczegółach omawiano sprawę towarzyskiej herbatki członków Koła.

W czasie pobytu w wypożyczalni widziałam szereg osób, jak się później okazało członków Zarządu Koła, które prowadziły ożywione rozmowy z kierowniczką na temat zakupionych książek, omawiały jakies szczegóły dotyczące urządzenia biblioteki. Np. uderzył mnie serdeczny stosunek czytelników do kierowniczki, wielka zażyłość z nią niektórych czytelników, chęć pomóżenia jej w pracy.

W czasie rozmowy z kierowniczką biblioteki i przewodniczącym Koła wyczułam, że poszukują oni dopiero właściwych form pracy Koła, że

mimo posiadanego statutu dopiero na drodze praktyki i doświadczenia będą mogli dojść do ustalenia właściwego stylu i treści pracy.

I tak jest chyba dobrze. Właściwie każde Koło stawiając sobie jako podstawowe zadanie wszechstronną pomoc bibliotece powinno dopracować się swoistych form działania, najbardziej dostosowanych do potrzeb i możliwości środowiska.

Niedobrze byłoby, gdyby wszystkie Koła organizowano według jakiegoś jednego wzoru. Obserwując pracę istniejących już Kół widzi się, że rzeczywiście działalność ich przybiera różne formy. Inaczej pracuje Koło przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Pruszkowie, inaczej w Bochni, a jeszcze inaczej w Skierniewicach.

Od czasu do czasu znajdzie się wśród nich i Koło przy bibliotece gromadzkiej jak np. w Lipinach (pow. skierniewicki) — ale niestety jest ich jeszcze bardzo niewiele. A przecież właśnie bibliotekom gromadzkim potrzebna jest najbardziej pomoc społeczeństwa, a zwłaszcza inteligencji wiejskiej (nauczyciel, agronom, lekarz, higienistka), która mogłaby się stać oparciem dla bibliotekarza w jego pracy.

Wydaje mi się, że potrzebna tu jest większa aktywność bibliotek powiatowych, większe zrozumienie dla tych spraw, a co za tym idzie pomoc bibliotekarzom gromadzkim w skupianiu dokoła bibliotek tych, którym leżą na sercu sprawy książki, czytelnictwa, oświaty.

Niewątpliwie słuszne i pożyteczne byłoby podanie opisu pracy Kół Przyjaciół. Stwarzałoby to możliwość porównania własnych doświadczeń z doświadczeniami innych. Nie można jednak tego robić w ramach jednego artykułu, dlatego też do spraw tych jeszcze niejednokrotnie powrócimy.

Jadwiga Kołodziejska

ORGANIZACJA SIECI BIBLIOTEK POWSZECHNYCH W POLSCE LUDOWEJ

W numerach 5, 6, 7-8 „Poradnika Bibliotekarza“ publikowaliśmy artykuły Jadwigi Kołodziejskiej „Z dziejów bibliotekarstwa“ dotyczące początków bibliotekarstwa powszechnego w Polsce, ustawodawstwa bibliotecznego w kraju i zagranicą oraz sieci bibliotecznej w okresie międzywojennym. Poniżej zamieszczony artykuł stanowi dopełnienie i zakończenie tego cyklu.

Projekt ustawy bibliotecznej, proponowany przez bibliotekarzy w okresie międzywojennym nie doczekał się realizacji, ale stworzył podstawy i przygotował grunt dla „Dekretu o bibliotekach publicznych“, wydanego 17 kwietnia 1946 roku, czyli w rok po wojnie. Poza przepisami ogólnymi dekret określał ogólnokrajowe sieci bibliotek publicznych, w skład których weszły sieci bibliotek szkolnych, powszechnych i naukowych.

Do zadań bibliotek szkolnych należy dostarczanie uczniom i nauczycielstwu lektury potrzebnej w związku z nauką szkolną i wychowaniem. Obowiązkiem bibliotek powszechnych jest służyć czytelnictwu w najszerszym zakresie, a w szczególności wychowaniu społecznemu, kształceniu ogólnemu i zawodowemu oraz kulturalnej rozrywce wszystkich obywateli. Przewidziano w „Dekrecie“, że każda biblioteka powinna posiadać księgozbiór dla dorosłych, odrębny księgozbiór dla młodzieży i dzieci oraz czytelnię zaopatrzoną w czasopisma bieżące.

Zgodnie z „Dekretem“ sieć bibliotek powszechnych przedstawia się pod względem struktury następująco:

Jako najmniejszą placówkę biblioteczną określono bibliotekę publiczną, obsługującą czytelników na terenie gminy. W miarę narastających potrzeb miały powstawać punkty biblioteczne na terenie poszczególnych gromad, dzielnic miast i w innych ośrodkach życia zbiorowego w ten sposób, aby wszyscy obywatele mieli równomierne ułatwione korzystanie z książki. Następnymi ogniwami w strukturze organizacyjnej bibliotek powszechnych są biblioteki powiatowe i wojewódzkie, jako ośrodki centralne dla danego terenu, zobowiązane do pomocy organizacyjnej i instruktorskiej w stosunku do bibliotek niższego stopnia. Biblioteki wojewódzkie miały ponadto pełnić rolę bibliotek regionalnych, gromadzących pełne piśmiennictwo i inne dokumenty odnoszące się do danego rejonu.

Do zakładania i utrzymywania bibliotek powszechnych „Dekret” zobowiązywał właściwe związki samorządowe. Pomoc państwa dla sieci bibliotek miała wyrazić się w corocznych świadczeniach na ich utrzymanie, w wysokości co najmniej 25% łącznych wydatków wszystkich związków samorządowych, poniesionych na cele biblioteczne w poprzednim roku budżetowym. „Dekret” określił również rolę bibliotek naukowych i specjalnych jako tych, które mają służyć przede wszystkim celom naukowo-badawczym, budowaniu i rozszerzaniu wiedzy oraz kształceniu ogólnemu i zawodowemu wyższego stopnia.

Rekapitulując: „Dekret o bibliotekach” z 1946 roku dał prawną podstawę do stworzenia ogólnokrajowej sieci bibliotek powszechnych, szkolnych i naukowych. Koszty z tym związane spadały w części na państwo, w części na związki samorządowe. Moment ten należy uznać za przełomowy w dziejach bibliotekarstwa i książki polskiej.

„Dekret” stworzył podstawy dla przyszłego rozwoju bibliotek, jednak rozwój życia politycznego i gospodarczego niósł coraz to nowe zmiany, które spowodowały, że ramy „Dekretu” stały się zbyt ciasne dla dalszego rozwoju bibliotekarstwa powszechnego. Toteż coraz częściej podnoszą się wśród bibliotekarzy głosy przemawiające za podjęciem prac przygotowawczych nad nowelizacją Dekretu. Wymienię parę przyczyn, które w dużym stopniu zadecydowały o konieczności zmian organizacyjnych w strukturze sieci bibliotek powszechnych.

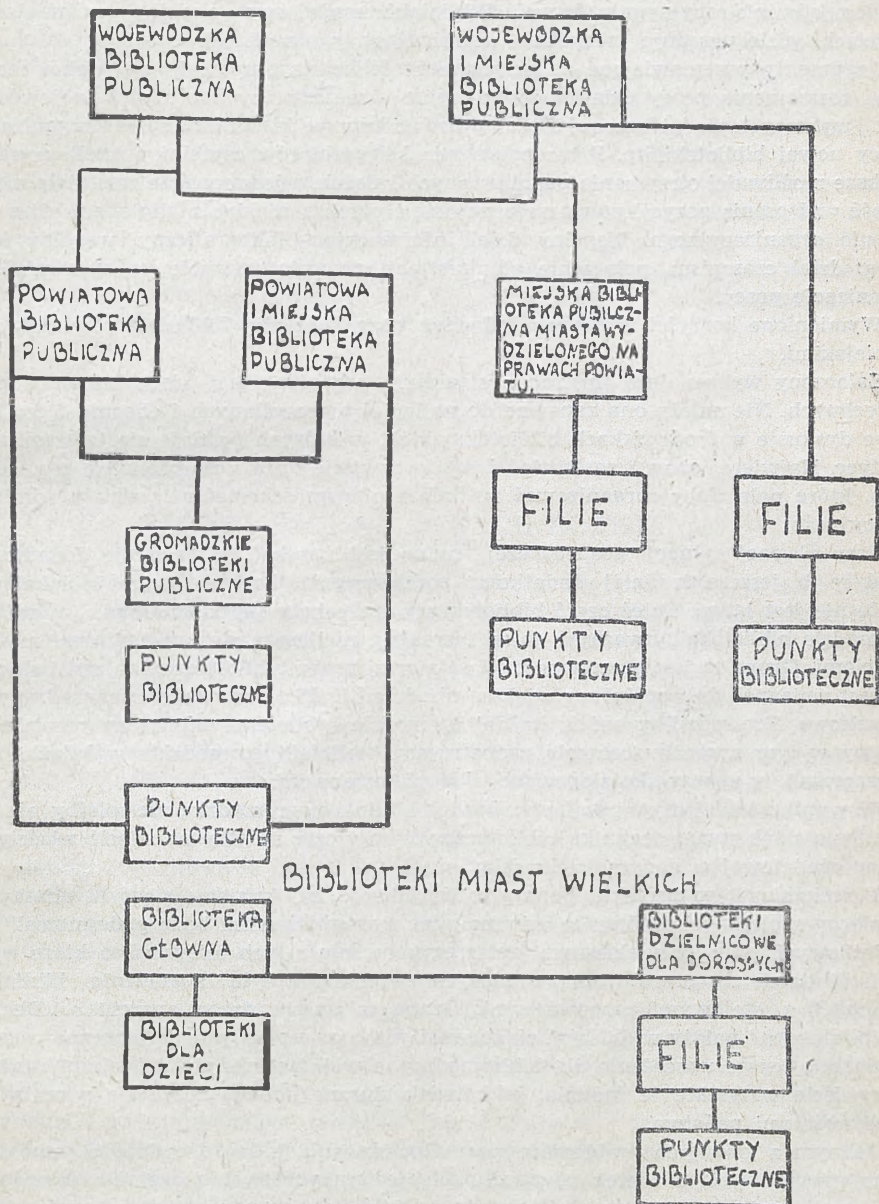
W związku z reorganizacją podziału administracyjnego państwa przeprowadzoną w 1954 roku, w wyniku której przestały istnieć gminy jako szczebel administracyjny, a uprawnienia ich przeszły na gromady podległe bezpośrednio władzom powiatowym, zaistniała konieczność przystosowania sieci bibliotek powszechnych, zwłaszcza na wsi, do tych nowych warunków.

Sprawa wyglądała i wygląda w sposób dość skomplikowany.

Do roku 1954 ilość gmin pokrywała się z ilością bibliotek gminnych i wyrażała się liczbą 2997. W wyniku nowego podziału administracyjnego powstało 8790 gromad. Wobec tego faktu władze biblioteczne wydały w 1955 roku instrukcję, w której wyrażono dążenie do zakładania bibliotek w każdej gromadzie. W roku 1956 mieliśmy 4430 bibliotek gromadzkich. Otwarcie biblioteki uzależnione jest od zapewnienia przez gromadzką radę narodową lokalu, pracownika i niezbędnych funduszy. Proponowano, aby dotychczasowe księgozbiory bibliotek gminnych, w przypadku powstawania nowych bibliotek gromadzkich, ulegały podziałowi. Do czasu zorganizowania pełnej sieci bibliotek gromadzkich te gromady, które nie posiadają biblioteki, będą obsługiwane przez punkty biblioteczne, prowadzone przez bibliotekę powiatową.

Plan organizacji sieci bibliotek na terenie powiatu, obejmujący lokalizację, kadry, kredyty, księgozbiory i sprzęt, opracowuje oddział kultury prezydium powiatowej

DEPARTAMENT BIBLIOTEK
MINISTERSTWA
KULTURY I SZTUKI



Schemat struktury organizacyjnej sieci bibliotek powszechnych

rady narodowej. Przy opracowywaniu tego planu współpracuje z oddziałem biblioteka powiatowa. Plan zatwierdza prezydium powiatowej rady narodowej.

Drugim momentem, który zaważył na organizacji sieci bibliotek powszechnych była instrukcja z 1956 roku mówiąca o połączeniu organizacyjnym wojewódzkich bibliotek powszechnych z miejskimi bibliotekami publicznymi miast wojewódzkich oraz połączenia powiatowych bibliotek publicznych z miejskimi bibliotekami publicznymi tych miast powiatowych, które nie stanowią powiatów miejskich. Na skutek tego rozporządzenia sieć bibliotek powszechnych pokrywa się całkowicie z oddziałem administracyjnym państwa. Biblioteki mają swe siedziby w miejscowościach, gdzie urzęduje prezydium właściwej rady narodowej.

Argumenty przemawiające za połączeniem bibliotek grupowały się wokół możliwości rozszerzenia pracy działów instrukcyjno - metodycznych bibliotek wojewódzkich, wykorzystania połączonej ilości pracowników w kierunku lepszej organizacji pracy nowej biblioteki itp. Przez połączenie księgozbiorów czytelnicy mieli uzyskać większe możliwości otrzymania poszukiwanych książek, a jednocześnie zaistniała możliwość wyłączenia pozycji powtarzających się i przekazania ich bibliotekom niższego stopnia organizacyjnego. Wspólny dział informacyjno-bibliograficzny, wspólny katalog, dział czasopism, połączenie administracji pozwolą wreszcie na sprawniejszą organizację pracy.

Wymienione korzyści występują również przy łączeniu bibliotek powiatowych z miejskimi.

Załączony wykres jest ilustracją struktury organizacyjnej sieci bibliotek powszechnych. Nie należy ona zapewne do najlepiej przemyślanych i obecnie toczą się żywe dyskusje w środowiskach bibliotekarskich, w których poddaje się tę strukturę krytyce. Najwięcej obaw i zastrzeżeń budzi oczywiście duża ilość bibliotek gromadzkich, które należałoby zorganizować zgodnie z nowym schematem podziału administracyjnego.

Przy obecnej sytuacji gospodarczej trudno jest uzyskać na tę akcję dodatkowe kredyty, a jeszcze trudniej dodatkowe pomieszczenia, bowiem sytuacja lokalowa także nie jest łatwa. Toteż część bibliotekarzy sprzeciwia się postulatowi: „w każdej gromadzie biblioteka”, uważając go za nierealny, nie liczący się z aktualnymi możliwościami. Grupa ta jest przeciwna także etatowej pracy bibliotecznej na wsi i skłonna jest wciągnąć do współpracy większą niż dotąd ilość nauczycieli, wynagradzanych ryczałtowo. Prowadziliby oni w każdej gromadzie bibliotekę. Biblioteka powiatowa byłaby w tym wypadku centralą zaopatrującą biblioteki gromadzkie w książki już opracowane, to znaczy skatalogowane, sklasyfikowane itd.

W wyniku takiej organizacji prowadzący bibliotekę gromadzką nie miałby nic do czynienia z tak zwaną techniką biblioteczną, a cały czas mógłby poświęcić właściwej pracy oświatowej w danym środowisku.

Przeciwnicy tego projektu podają w wątpliwość, czy znajdzie się tylu ofiarnych działaczy społecznych, którzy za minimalnym wynagrodzeniem będą podejmowali się dodatkowych prac i czy słusznym jest zrezygnowanie z tych osiągnięć, o które walczyli bibliotekarze przed wojną, a których wynikiem było stworzenie bibliotek gminnych z etatowymi pracownikami. Grupa ta uważa, że w oparciu o „Dekret o bibliotekach“ należy w dalszym ciągu walczyć o nowe placówki biblioteczne w gromadach, o lepsze uposażenie dla bibliotekarzy, o większe kredyty na zakup książek. Oczywiście wszystkie te żądania, jakkolwiek słuszne, muszą liczyć się z realnymi możliwościami państwa.

Jednym z głównych problemów, poza finansowymi, który decyduje o prawidłowym rozwoju sieci bibliotek powszechnych, jest przygotowanie ogólne i zawodowe pracowników bibliotecznych. O ile poziom w bibliotekach powiatowych i wojewódzkich przejawia tendencje w kierunku podwyższania kwalifikacji pracowników, o ty-

le stan ten w bibliotekach gromadzkich pozostawia wiele do życzenia. Duża płynność tej kadry bibliotekarzy (są biblioteki, gdzie bibliotekarze zmieniają się 2-3 razy w roku) powoduje, że wszystkie akcje szkoleniowe w formie dłuższych czy krótszych kursów bibliotekarskich pochłaniają budżety biblioteczne a nie dają spodziewanych rezultatów, bowiem ci, co je kończą przechodzą do innych zawodów.

Pracę w bibliotece na wsi obejmuje najczęściej młoda dziewczyna (bardzo rzadko chłopiec) z wykształceniem podstawowym (7 klas szkoły powszechnej), która nie potrafi uzyskać tak potrzebnego w wiejskim środowisku autorytetu, a przede wszystkim nie posiada w takim stopniu znajomości literatury pięknej i popularnonaukowej, jaka jest niezbędna dla prowadzenia akcji czytelniczej. O pozyskiwaniu do pracy na wsi absolwentów średnich szkół bibliotekarskich (liceów) również nie ma mowy, są to bowiem znów ludzie młodzi, związani z domem rodzinnym oraz najczęściej ze środowiskiem miejskim, a gdyby nawet ktoś z nich zgodził się przyjąć pracę na wsi to niskie zarobki nie pozwoliłyby mu na samodzielne utrzymanie.

Niezależnie od tych trudności istnieje pewna ilość bibliotekarzy gromadzkich, którzy pracują dobrze i mają w swej pracy oświatowej poważne osiągnięcia. Im to zawdzięczamy, że rozwój czytelnictwa na wsi jest faktem niezaprzeczalnym. Mimo to w dalszym ciągu musimy szukać metod, które pozwoliłyby ulepszyć dotychczasową organizację sieci bibliotek oświatowych i rozszerzyć zakres jej działalności, aby mogła sprostać wszystkim swym społecznym zadaniom.

Stanisław Siekierski

Instytut Książki i Czytelnictwa

Biblioteka Narodowa

TRZEBA SZUKAĆ NOWYCH ROZWIĄZAŃ

Po dość ożywionej dyskusji, jaka odbyła się przy okazji ostatniego konkursu czytelniczego, w bibliotekach panuje spokój. Argumenty bibliotekarzy, że praca z książką wymaga spokoju i ciszy zostały, wydaje się, wzięte pod uwagę. W większości wypadków pracownicy bibliotek nie są zatrudniani przy pracach administracyjnych. Coraz częściej przyznaje im się prawo do wyłącznej pracy z książką i czytelnikiem, nie mówi się już o hałaśliwej, ale nigdy nie sprecyzowanej pracy z czytelnikiem masowym. W samych bibliotekach zmniejszyła się jednocześnie liczba instrukcji, poleceń, zarządzeń. I to jest chyba dobrze. Równocześnie daje się jednak zaobserwować stan pewnego marazmu, który powoduje z jednej strony zopominanie o bibliotekach i ich roli przez poszczególne ogniwa rad narodowych, z drugiej zaś strony zmniejsza się zainteresowanie organizacji społecznych. Sytuacja ta nie pozostaje bez wpływu na sam rozwój czytelnictwa. Bibliotekarze nie przygotowani odpowiednio do pracy z czytelnikiem indywidualnym nie potrafią skupić wokół siebie aktywu społecznego na odpowiednim poziomie oraz chętnego do pracy oświatowej, nie mogą też spełniać roli, jaką spełniać mogą organizacje społeczne propagowania książki zarówno wśród ludzi nie korzystających z biblioteki, jak i wśród czynników mających wpływ na rozwój życia społecznego i gospodarczego. Dlatego też wydaje się, że celowe i jak najbardziej słuszne jest obok systematycznego pogłębiania pracy z czytelnikiem indywidualnym wykorzystanie tych organizacji społecznych, które mogą i chcą przyjąć bibliotekarzom z pomocą. Jedną z nich jest Związek Młodzieży Wiejskiej. Ostatnie plenum Zarządu Głównego Związku Mł-

dzieży Wiejskiej postawiło wiele problemów pracy oświatowej przed kołami wiejskimi, które winny zainteresować wszystkich bibliotekarzy pracujących na terenie wiejskim. Należy oczywiście pamiętać, że od uchwał Plenum do realizacji jest bardzo daleka i żmudna droga. Tym niemniej biorąc pod uwagę tradycje Związku Młodzieży Wiejskiej oraz obecne poczynania kół, wydaje się, że organizacja ta może bardzo poważnie przyczynić się do ożywienia pracy oświatowej na wsi.

Punkty biblioteczne to niemal „pięta Achillesowa“ naszej sieci bibliotecznej. Wkład finansowy w punkty, wiarygodność ich sprawozdawczości, procent pracujących a piszących sprawozdania, procent zaginionych książek — to sprawy, które ustawicznie spędzają sen z powiek wszystkim, którzy w jakimś stopniu odpowiadają za pracę tych punktów. Jednocześnie wiadomo, że czytelnicy korzystający z punktów stanowią połowę czytelników wiejskich bibliotek, a w niektórych województwach nawet większość, oraz że coraz trudniej znaleźć chętnych do prowadzenia punktów, nawet tam, gdzie pracowały one stosunkowo dobrze, a kierownicy otrzymywali premie.

Dlatego też inicjatywa Związku Młodzieży Wiejskiej, aby punkty biblioteczne prowadziły koła ZMW wydaje się jak najbardziej słuszna i aktualna, szczególnie tam, gdzie koła rozpoczęły już systematyczną pracę i mają wśród swych członków ludzi interesujących się książką na codzień. Trzeba, aby biblioteki powiatowe i gromadzkie pomogły wszystkim tym kołom, które wykażą w tym kierunku zainteresowanie oraz wychodziły nawet same z inicjatywą tam, gdzie zainteresowanie to jeszcze nie zostało skonkretyzowane, a istnieją ku temu odpowiednie warunki. Nie można spodziewać się, że problem zostanie natychmiast rozwiązany, wydaje się jednak, że w wielu wypadkach praca punktów wybitnie się polepszy, że książki trafią do rzeczywistych odbiorców, pomogą poważnie w pracy wychowawczej organizacji a i pozwolą zaoszczędzić trochę pieniędzy, które mogą być przeznaczone na inne cele. Sprawa jest bardzo ważna, a gra warta świeczki.

Praca z książką wśród młodzieży na wsi to temat, który występuje na czołowe miejsce w pracy ZMW, a więc sprawa, która jak najbardziej żywo obchodzi wszystkich bibliotekarzy. Trzeba przyznać, że na tym odcinku niektóre zarządy wojewódzkie ZMW przejawiają bardzo wiele inicjatywy. Takie np. województwa jak Katowice i Opole ogłosiły nawet w swym zakresie konkursy czytelnicze, co jest niewątpliwie zjawiskiem nowym i jak najbardziej pozytywnym. Trzeba aby poszczególne biblioteki przyszły tym poczynaniom z jak najdalej idącą pomocą, zapewniły odpowiednią literaturę w odpowiednich ilościach i dobrą informację, udzieliły fachowych wskazówek i porad, a w razie potrzeby kierowały do odpowiednich placówek wyżej zorganizowanych.

W wielu miejscowościach powstają uniwersytety powszechne, organizuje się też kilka uniwersytetów ludowych. Trzeba, aby zgrupowani tam słuchacze znaleźli odpowiednie ilości interesującej ich literatury. Sprawy te wydają się oczywiste, ale przypomnienie o nich jest chyba potrzebne i o tyle na czasie, że trwająca reorganizacja niektórych bibliotek może pomóc odpowiednim przesunięciem księgozbiorów do środowisk bardziej potrzebujących oraz że zbliżający się koniec roku budżetowego prawie zawsze przynosi zwiększone fundusze na zakup książek.

Sprawa wykorzystania książek fachowych jest u nas niezmiernie ważną, a ciągle kuleje i tu — wydaje się — powinna nastąpić poprawa i to

zdecydowana. Dotyczy to szczególnie literatury rolniczej, która do tej pory wykorzystywana była zdecydowanie słabo, tak że wiele bibliotek chętnie pozbyłoby się tego działu zupełnie, a jak wykazują tegoroczne obserwacje zakupu, wiele z nich literatury rolniczej nie kupuje prawie wcale. Jest to zjawisko niepokojące, zarówno wobec zadań i potrzeb rolnictwa, jak i ze względu na konkretne, już rozwijające się szkolenie w ramach „Przysposobienia rolniczego“.

Zachodzi potrzeba, aby każda biblioteka powiatowa zasięgała informacji, jakie i gdzie będą prowadzone w tym zakresie zajęcia — szkolenia czy kursy — i zabezpieczyła zarówno posiadane rezerwy książkowe, jak i pozycje znajdujące się w księgarniach, które trzeba bezwzględnie zakupić. Podobnie przedstawia się sytuacja z innymi dziedzinami wiedzy. Kółka zainteresowań zaczynają wychodzić z kręgu „pobożnych życzeń“. Trzeba, aby i tam dotarły potrzebne książki.

Dobrze byłoby, aby bibliotekarze pomyśleli też o możliwości bezpośrednich kontaktów z kołami ZMW, aby zainteresować młodzież (najlepiej przez odpowiednie pogadanki) książkami, które warto przeczytać.

Te luźne uwagi nie wyczerpują tematu form współpracy bibliotek z organizacjami społecznymi w terenie, zwracają jednak uwagę na poważnego sojusznika w pracy oświatowej na wsi.

KĄCIK PORAD DLA BIBLIOTEKARZY SZKOLNYCH

Koleżance **K. Artykiewicz** z Łodzi dziękujemy za miły list. Cieszy nas, że w „Poradniku” znajduje materiały, które pomagają jej w pracy i życzymy dalszych sukcesów w nowym roku szkolnym.

A teraz odpowiemy na kilka wysuniętych pytań:

1. W bibliotekarstwie rozróżniamy tradycyjnie następujące formaty: 16^o — dla książek o wysokości grzbietu poniżej 20 cm, 8^o — od 20 do 25 cm (format najczęściej występujący), 4^o — od 25 do 35 cm, 2^o — powyżej 35 cm.

Określenia: szesnastka, ósemka, czwórka itd. (pierwotnie łacińskie: sexto, decimo, octavo, quarto, folio) pochodzą od takiego załamania całego arkusza papieru, że powstało z niego szesnaście, osiem itd. kart. Przy pierwotnych metodach produkcji papieru, wielkość arkusza papieru mierzono mniej więcej rozpiętością ramion robotnika wygniatającego masę papierową z sita. W dzisiejszej fabrycznej produkcji papieru stosuje się znormalizowane formaty arkuszy. „Przewodnik Bibliograficzny” określa format w centymetrach. Na karcie katalogowej wypisujemy format po adresie wydawniczym przed oznaczeniem ilości stron.

2. Sygnowanie książek. Jeżeli książka ma zbyt wąski grzbiet, żeby można na nim umieścić sygnaturę, umieszcza się ją na tylnej okładce w prawym górnym rogu.

3. W klasyfikacji literatury dla dzieci w bibliotekach szkół podstawowych obowiązuje podział literatury. Ten podział dotyczy tylko beletrystyki dla dzieci. Jeżeli katalog rzeczowy tej klasyfikacji dotąd nie uwzględnił, należy go odpowiednio przerobić. Pomocą tu może służyć tzw. „Katalog książek konkursowych”, który został przesłany do wszystkich szkół. Zawiera on ogólne wskazówki katalogowe, opisy katalogowe większości książek aprobowanych do szkół od roku 1951 i indeksy.

MOJE BIBLIOTEKI

I.

Miałam dziewięć, a może nawet dziesięć lat, kiedy poznałam pierwszą z nich. Było to podczas lat międzywojennych w Sosnowcu. U wejścia do budynku na ulicy Małachowskiego widniała tablica z napisem. „Miejska Biblioteka Publiczna im. G. Daniłowskiego”.

Nie wiedziałam jeszcze wówczas, kto zacytował ów Daniłowski — lecz odtąd nazwisko poznane później autora **Jackółki** oraz **Paltocika** na długo jeszcze przed tym, nim poznałam jego utwory, kojarzyło mi się z pierwszą „moją” biblioteką.

Wnętrze sporej salki zastawione było półkami, na których piętrzyły się książki różnej grubości, różnych formatów, jednakowo oprawne w brązowy papier. Przy wejściu należało się zaopatrzyć w „numerek”, a potem czekać cierpliwie na swą kolejkę. Wtedy jasnowłosa pani Helenka sięgała po karteczkę, na której starannie wypisywałaś odnotowane z katalogu numery książek. Czas oczekiwania wypełniałam wertowaniem ksiąg katalogowych, których stronicę szeleściły suchym, prawie metalicznym chrzęstem — lub oglądaniem rozwieszonych wokół okładek nowości książkowych. Już wtedy nawiedzała mnie owa dobrze znana wszystkim namiętnym pozeraczom słowa drukowanego bezradność, z jaką myśli się zazwyczaj o tym, że tyle jest książek, które chciałoby się wziąć do rąk — i pochłonąć od deski do deski...

Moment napięcia: pani Helenka wraca z pomiędzy półek, wyładowanych książkami. Któryś z numerów inwentarzowych wypisany na wąskiej, długiej karteczce, zamieniał się w książkę. Grubą lub cienką, podniszczoną lub jeszcze zalatującą świeżym aromatem farby drukarskiej — ale zawsze nieznaną, otrzymaną po raz pierwszy. Pędziło się wtedy do domu, jak na skrzydłach, ledwie dotykając ziemi stopami — aby co prędzej utonąć w rozkoszy lektury...

Co czytałam wtedy? Mnóstwo rzeczy, na ogół bez ładu i składu. Nie gardziłam baśniami, do których upodobanie pozostało mi zresztą aż po dziś dzień, prócz tego chłonełam powieści „dla dziewcząt”, historyczne, podróżnicze — książki młodzieżowe łykałam na „przeplatankę” z tymi, które zaliczano już do lektury dla starszych. A więc — oczywiście **Trylogia**, **Anielka** Prusa, nowele Konopnickiej... Oczywiście najchętniej sięgałam po książki grube — i ciekawe.

Potem przyszła biblioteka gimnazjalna z litanią lektur „obowiązkowych” i „zaleconych”, z książkami „dla klas starszych”, których bezlistosny matematyk, pełniący obowiązki bibliotekarza, nie chciał wydawać uczniom „klas młodszych” — oraz z tymi książkami, które wypożyczało się tylko „dla siebie”. Do „Daniłowskiego”, jak mówiliśmy potocznie, zaglądałam coraz rzadziej, aż wreszcie mój kontakt z pierwszą biblioteką, jaką poznałam urwał się zupełnie...

Praca w bibliotece, tak jak praca w księgarni, podobała mi się niezmiernie. Wyobrażałam ją sobie przede wszystkim, jako możliwość stałego obcowania z nieprzeliczonymi szeregami stojących na półkach tomów, które zawierały słodką truciznę lektury. Wśród postanowień: „czym chcę zostać, gdy dorosnę” — figurowało przez czas pewien bibliotekarstwo, chyba w pierwszej kolejności po astronomii. Później, gdzieś „na zakręcie czasu”, to postanowienie zawieruszyło się i przepadło — ale sentyment do bibliotek pozostał na zawsze.

Pamiętam jeszcze z lat przedwojennych wypożyczalnie przy większych księgarniach miejscowych, gdzie opłaty — zwłaszcza kaucja — były stosunkowo wysokie. Korzystało się z nich jednak, choćby przez krótki okres czasu w ciągu ro-

**Bibliotekarzom —
najlepszym, naj-
wierniejszym
przyjaciółom czy-
telników i... pisa-
rzy — poświęcam
to wspomnienie
Monika Warneń-
ska**



ku, dla łatwiejszego zdobycia nowości wydawniczych, które miły przedsmak „dorosłej” lektury często nasycali smakiem zakazanego owocu. Pamiętam wreszcie pierwsze odwiedziły w katowickiej bibliotece Instytutu Śląskiego gdzie niezręcznie parałem się z zagadkami sygnatur katalogowych i ze sposobem wypełniania rewersów. Było to na kilka dni przed wybuchem wojny...

Przyszła okupacja. Zły czas dla ludzi, zły czas dla książek. Wagonami, ciężarówkami, transportami całymi szły one do młynów papierniczych, na makulaturę, na przemiał. Papiernia „Lamprechta” w Sosnowcu stała się cmentarzyskiem wielu bibliotek, grobowcem wielu cennych dzieł, wielu rzadkości, nawet „białych kruczków”, zwożonych zewsząd — z księgozbiorów publicznych i prywatnych, z zarekwirowanych mieszkań ludzi wysiedlonych lub aresztowanych, wśród których nie brakło bibliofilów i miłośników książek. Wypożyczalnie likwidowano bez pardonu.

Gdzie było można — czyniło się starania o uratowanie polskiej książki. — Ileż tomów przetrwało w zakamarkach mieszkań, ileż ukrywano po strychach, piwnicach, w rupieciarniach, ileż z nich na długie lata potem zachowało piwniczną woń stęchlizny i wilgoci! Ile z nich wędrowało z rąk do rąk... Podwójnie, ba! — stokrotnie droższe były one, niż za czasów pokoju. Droższe nie tylko ceną, która w antykwariatach okupacyjnych Warszawy lub Krakowa osiągała zawrotną wysokość — lecz droższe miłością, jaką je teraz obdarzano, droższe potrzebą, którą stała się dla wszystkich, krzepiąc i niosąc nadzieję. „Habent sua fata libelli” — książki mają swoje losy — powiada łacińskie przysłowie, którego trafną mądrość potwierdził

czas wojny. Przez ileż rąk wędrowały, ilu ludziom dopomagały żyć i przetrwać — „zaczytane” doszczętnie, zbrukane, podniszczone tomy ze stemplami przedwojennych wypożyczalni i bibliotek!...

Na nowo wówczas odczytywaliśmy Mickiewicza i Prusa, Sienkiewicza i Żeromskiego. Wyrosłe w powiciu niewoli dzieci, które okupacja od małości uczyła milczeć i nie ufać wrogowi — pytane w szkole przez urzędników niemieckiego Schulamtu, czy znają **Placówkę** czy **Krzyżaków** — bez zająknięcia odpowiadały, jedno za drugim, choć nikt ich przedtem nie uczył: „nie”, „nie wiemy”, „nie znamy”. Ich oczy potrafiły kłamać równie dobrze, jak słowa — i oszukały skutecznie, zmyliły, wywiodły w pole faszystę... Stojącej tuż obok nauczycielce serce łomotało w piersi — bo przecież w okrojony karykaturalnie „program szkolny” wpychała, ile mogła, wiadomości z historii, z polskiego... Bo przecież z jej rąk wędrowały pomiędzy dzieci słowa „Roty” Konopnickiej, nowela o „Niemczakach”, sienkiewiczowska historia „Bartka — zwycięzcy”, tomy „Krzyżaków” i opowieść Prusa o polskim chłopie, który broniąc zajadłe skrawka ziemi rodzinnej, nie chciał ulec germańskiej przemocy...

A czy pamiętacie pierwsze książki wydane w Lublinie w roku 1944? Biorę dziś do rąk ostrożnie, jak coś kruche i cennego, tomik drukowany na lichym papierze, by odczytać słowa poety, czytane w odpisie jeszcze podczas okupacji:

„...Mowa jest ciężka, gęsta — jak gaz
Niewidzialna, przenika wszystko.
Jak rozruszać to dławiące morze?
Zakopać w ziemi słownik, wszystkich słów wyprzedaż.
Diament, który stracił blask
I czystość...”

(Mieczysław Jastrun)

Ten sam poeta opisze po latach barbarzyńskie niszczenie książek przez okupanta:

„Ileż was, stare druki, rękopisy, księgi,
Zginęło bezpowrotnie w pożarze Warszawy!
Pożary was płomień niszczącej potęgi,
Popioły wasze rozwiął wiatr w tym roku krwawym.
Zbiorze Krasińskich, raperswilski, batignolski,
Biblioteko Załuskich, mowo dawnej Polski!
Wzlatywałaś na skrzydłach płomieni ku niebu,
Na dymach całopalnych czarnego pogrzebu —
Zdawało się, że słyhać w jęku murów, w trzasku
Szyb okiennych — twój jęk ostatni...”

II.

Biblioteczne sentymenty trwają we mnie z dawną siłą jeszcze bardziej pogłębione teraz, gdy spełniając dziecinne marzenie, param się niewprawnie piórem — i kiedy moją ręką pisane słowa wędrują pod drukarską prasę.

Gdziekolwiek jestem w wędrownce po kraju i świecie — zaglądam do księgarń, do bibliotek — czy to naukowych, czy tych najzwyczajniejszych, niosących światło, którym jest książka, pomiędzy prostych ludzi. Lubię przeglądać katalogi biblioteczne, karty czytelników, dowiadywać się, kto najchętniej korzysta z lektury, jakie książki i jacy autorzy cieszą się największą przyjaźnią ze strony czytelników. Radują mnie bibliotekarze — zapaleńcy, ci, którzy mimo trudnych warunków pracy, mimo płac zbyt jeszcze niskich, przywiązani są do swego zawodu całą duszą,

k którzy zachęcają skutecznie ludzi do lektury, którzy niestrudzeni są w wynajdywaniu pomysłów, popularyzujących książkę. Cieszę się, spotykając czytelników, którzy idą ręką w rękę z bibliotekarzem, którzy są wiernymi bywalcami i przyjaciółmi „swojej” biblioteki przez szereg lat. Spotykałam takich zapaleńców wśród bibliotekarzy i wśród czytelników w różnych okolicach: na peryferiach Warszawy, w zadymionych miastach Śląska, w Rzeszowszczyźnie i w koszalińskim, w małych miasteczkach województwa opolskiego i na Mazurach. Interesują mnie biblioteki wiejskie — i biblioteki Ziemi Zachodnich — ziem, na których książka spełniała rolę stokroć większą, niż w reszcie Polski, ucząc umiłowania ojczyzny i wiernej dla niej służby. Widziałam bibliotekarzy, którzy tak jak nauczyciele, wiejscy i prowincjonalni borykają się z mnóstwem trudności, z licznymi przeszkodami, przywodząc na myśl jeden przykład z literatury szczególnie wymowny i piękny: *Siłaczkę* Żeromskiego. I odwrotnie — zasmucający widok przedstawia biblioteka, z której ścian wieje obojętne zimno, w której brakuje krzątanimy człowieka, kochającego książkę i umiejącego młodość dla niej przekazać innym.

Sprawami książek, ruchu wydawniczego, bibliotek interesuję się bieżąco w mojej działalności publicystycznej. Echa „bibliotecznych sentymentów” odezwały się w moich utworach literackich. Tom opowiadań moich: *Dziewczyna z książką*, który ukazał się w roku ubiegłym nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, poświęcony jest właśnie zwykłym, prostym ludziom z prowincji, ze wsi i z małych miasteczek, których można zaliczyć — mówiąc urzędowym żargonem — do „pracowników kultury”. Świeciłczarki, nauczyciele wiejscy, członkowie ludowych zespołów artystycznych — oto ci, których opowiadania i losy stały się kanwą moich opowiadań. Najgłębiej chyba zapadły mi w serce historie zasłyszane na Mazurach, z których wysnułam wątek opowiadania tytułowego. Rzeczywistym pierwowzorem jego bohaterki była młodzianka, zakochana po uszy w książkach bibliotekarka, którą poznałam podczas jednej z wędrowek przez Mazury.

Uczestniczyłam wielokrotnie w spotkaniach autorskich z czytelnikami. I przekonałam się, że spotkania takie cel i sens mają wtedy, gdy grunt pod nie zawczasu przeorze bibliotekarz; gdy — wiedząc, jaki autor przyjedzie, zatroszczy się on o zaznajomienie czytelników z książkami tego autora, podsunie je zawczasu do lektury. Wtedy zazwyczaj niepotrzebne są jakiegokolwiek próby „prowokowania” lub „organizowania” dyskusji. Ludzie bowiem są ciekawi pracy pisarza, ciekawi są jej wtedy szczególnie, gdy zawrą znajomość z książkami, które tej pracy są owocem.

Sądę, że spotkań i wieczorów autorskich powinno być mniej może, niż dotychczas ich urządzano — ale powinny być one organizowane lepiej, przygotowywane staranniej, z większą troską o słuchacza, z większym szacunkiem dla czasu i pracy przybywającego pisarza. To znaczy, mówiąc inaczej — że trzeba, aby słuchacze i czytelnicy zarazem wiedzieli, jakie książki przybysz napisał, i żeby umieli książki te ocenić. Ocenic — to nie znaczy oczywiście zawsze chwalić — to znaczy dyskutować nad nimi, krytykować je, wysuwać rzeczowe uwagi. Przekonałam się, i to nieraz, jak bardzo ciekawi są ludzie pracy pisarza, jak chętnie zaglądną w tajniki jego warsztatu twórczego. I właśnie z myślą o czytelnikach, którzy chcą z najlepszymi najwybitniejszymi, najulubieńszymi pisarzami zawrzeć bliższą znajomość — przedsięwzięłam liczne wędrowki „śladami pisarzy” — do miejscowości, w których żyli, domów, w których mieszkali, krajobrazów, na które patrzyły ich oczy. Z wędrowek tych urosła książka — tom szkiców, zatytułowany *Śladami pisarzy*, złożony obecnie w jednym z wydawnictw i oczekujący dalszych swoich losów — które w obecnych warunkach wydawniczych zawsze są niepewne, aż do chwili, gdy książka gotowa, wydrukowana, wykończona edytorsko znajdzie się na półkach...

Często myślę o książkach, które mają swoje losy i swoją historię. Myślę o książkach ulubionych mojego dzieciństwa i mojej młodości. Myślę o książkach, podczas

okupacji przesładowanych, tak jak ludzie. Myślę o książkach, których autorzy podejmują wielki trud rozrachunku z naszą niełatwą rzeczywistością.

Podczas lat niedawnych wiele widziałam bibliotek. Często odwiedzałam ogromne księgozbiory warszawskiej Biblioteki Narodowej i Biblioteki Uniwersyteckiej. Z lekkim uśmiechem mimowolnego pobbłażania wspominam przy tym dawne uczucie emocji, z jakim przekraczałam progi wypożyczalni publicznej imienia Daniłowskiiego w Sosnowcu...

Widziałam kramiki bukinistów⁸⁾ nad szarą paryską Sekwaną — i książki wędrujące do rąk bibliofilów o sylwetkach, jak gdyby żywcem wyciętych z kart powieści Anatola France'a. Widziałam czytelników moskiewskich, skrzętnie wykorzystujących na lekturę każdą chwilę jazdy w metro. Zaglądałam do księgarni i antykwariatów Lipska — jednego z miast najmocniej zrośniętych z dziejami książki. Widziałam szacowne stare druki czeskie w praskim muzeum piśmiennictwa i kultury na Strachovie. Widziałam skośnookich bibliotekarzy koreańskich w dalekim Phenianie, pochylających się troskliwie nad przywiezionymi znów do miasta ledwie ostyłego z żaru wojny księgami: pisanymi dzwonym, niezrozumiałym dla europejskiego oka alfabetem. W gestach ich dłoni, ostrożnych i czułych, odnajdywałam tę samą pieczołowitość, jaka cechowała ruchy bądź siwowłosych, bądź młodziutkich bibliotekarek, wiosną 1945 roku odgrzebujących z gruzów i przywracających życiu ocalałe zasoby warszawskich księgozbiorów.

Zawsze chyba pozostanie mi w sercu ciepło, które rozpala się, gdy przekraczam progi bibliotek — czy to skromnych i zwyczajnych, czy to imponujących zasobami, bogatych w rzadkości i cuda książkowe. Z mimowolnym wzruszeniem patrzę na czytelników, którzy spieszą do tych skarbów, by wśród zatłoczonych półek odnaleźć tom, tęskniący za przyjazną ręką ludzką. Myślę wtedy o tych wszystkich, którzy po raz pierwszy w życiu oglądają krajobraz odmalowany przez Mickiewicza, którzy pierwszy raz zajeżdżają przed bramy Soplicowa, o tych, którzy pierwszy raz przeżywają losy Marty, Wokulskiego, którzy wzruszają się dziejami Joasi i Judyma... I wspominam dalsze słowa poety:

„...Pośród książek, co stoją w ściśniętych szeregach
W równych barwach okładek, spokojnie i czujnie,
Jest książka nieczytana o nietkniętych brzegach,
Która czeka na chwilę, aby żyć podwójnie.

Czyje palce jej dotkną i źrenice czyje,
Powoli najpierw i z ciekawością oszczędną,
A później prędeż, jak ptak, co ze źródła pije,
Podnosząc się i opuszczając pić z niej będą?

Jeszcze takich: od roli, maszyn, warsztatów,
Czytelników nie znała stara biblioteka,
Jak matka siwa, która zasiadła wśród kwiatów,
By święcić narodziny nowego człowieka.

Pośród książek przetartych we wielu źrenicach
(Nawet sto lat wielkości ich kartom nie ujmie)
Jest książka nowa o nierozciętych stronicach,
Która czeka na chwilę, aby żyć podwójnie.

*) Uliczni sprzedawcy książek w Paryżu.

Wiedzie w nią, jak przez wrota bez żadnej zawory
Ten, który świni doglądał, bydło pasał w lecie,
I przy bladym kaganku w zimowe wieczory
Narodzi się na nowo w pięknym, przyszłym świecie.

(Mieczysław Jastrun)

WŚRÓD KSIĄŻEK

MONIKA WARNEŃSKA: **Listy Mazurskie**. „Nasza Księgarnia, W-wa 1956, s. 79, 1 nlb., zł 3,20.

Listy Mazurskie są książką o problemie umacniania polskości na Mazurach i walki z fermentem wpływów neohitlerowskich. Główną rolę wychowawczą i społeczną w tej walce spełnia polska szkoła.

Poprzez korespondencję nawiązują przyjaźń dzieci ze szkoły TPD na Mokotowie i ze szkoły w Ukcie mazurskiej. Po wymianie listów następuje wycieczka i wzajemne odwiedziny. Dzieci z Warszawy poznają Mazury, dzieci z Mazur oglądają powstającą z gruzów stolicę i jej odbudowę.

Mały Janek sierota, pozostający pod wpływem ciotki Niemki, dostrzega, że został przez nią oszukany. Stwierdza sam, dotąd nieufny, że rzeczywistość jest inna, niż mu ją chciała przedstawić. Od starego Mazura, Kajczyka, dowiaduje się, że jego ojciec zabrany przez hitlerowców, był polskim działaczem. Wahający się do niedawna chłopiec zdaje sobie teraz jasno sprawę z tego, jaka jest jego droga. Biorąc udział we wspólnych imprezach dzieci, deklamując wiersz o polskiej mowie, widząc Warszawę i on poczuł się Polakiem.

Książka „Listy Mazurskie” przeznaczona zasadniczo dla dzieci, może być również dobrym przykładem wychowawczym dla nauczyciela.

H. D.

MONIKA WARNEŃSKA: **Dziewczyna z książką**. Ludowa Spółdzielnia Wydawn. W-wa 1956, s. 138, 2 nlb., zł 3.00.

Dziewczyna z książką to zbiór opowiadań, z których pierwsze nosi właśnie ten tytuł. Wszystkie nacechowane są nowym. Pionierska praca bibliotekarki wiejskiej, krzewienie, odszukiwanie i utrwalanie sztuki ludowej, zryw młodych do piękna i walki, walka z abnegacją na wsi, pomoc państwa dla jednostek utalentowanych — oto główne tematy książki.

Godny naśladowania przykład daje pełna zapału do swego zawodu „dziewczyna z książką”: obejmuje zamkniętą do niedawna, zaniedbaną bibliotekę w małej osadzie mazurskiej, z całym oddaniem porządkuje i segreguje książki, urządza sale, zachęca czytelników ogłoszeniem „Biblioteka otwarta”, dyżuruje, nawiązuje kontakty ze szkołą i gminą. Sale świecą pustkami — nie zgłasza się nikt.

Młoda bibliotekarka nie ustaje w pracy, mimo porażki. Jest niewyczerpana w pomysłach: werbuje do pomocy dzieci, urządza głośne czytania. Powoli rodzi się sympatia i zainteresowanie ze strony starszych. Bibliotekarka staje się wreszcie potrzebna.

W wyrzuconych przez gminę szpargałach dziewczyna odnajduje cenny dokument świadczący o polskości Ziemi Mazurskiej. Przekazuje go do archiwum w Olsztynie. Sama na swej placówce własną pracą tę polskość propaguje i umacnia. Naraziła się podziemnej niemieckiej organizacji neohitlerowskiej. Napadnięta, zostaje ranna w głowę. Po wyzdrowieniu nie rezygnuje z dalszej pracy w bibliotece. Zostaje odznaczona Krzyżem Zasługi.

Swoją nieugiętą postawę w pracy tłumaczy: „słyszałam, że bibliotekarz to też jak żołnierz na froncie kultury i oświaty. Trochę mi to wyglądało na takie ładne, gładkie zdanie... A tymczasem książka, to broń, której się boją tamci”.

Nie trzeba tu więcej wyjaśnień. Warto tylko polecić to opowiadanie wszystkim bibliotekarzom, zwłaszcza tym walczącym z trudnościami na najbardziej odległych placówkach.

Dalsze opowiadania zbiorku Moniki Warneńskiej świadczą, jak bardzo została udostępniona szerokim rzeszom nauka i to w różnych dziedzinach. Młodzież uzdolniona może korzystać ze szkół plastycznych, ze szkół śpiewu i tańca, brać udział w zespołach artystycznych, konkursach czytelniczych itd. itd.

W opowiadaniu „Droga do Koszęcina” dziewczyna pracowita, obdarzona pięknym głosem, wyrwa się z domu, żeby wstąpić do szkoły i zespołu śpiewaczego „Śląsk”. Speszona egzaminem, nie umie się we właściwy sposób zaprezentować. Z pomocą przychodzi profesor — „A wie pani, jak tam u was się górale nawołują? — To proszę zaśpiewać. Tak jakby pani była teraz w górach”. Mocny, czysty głos dał dowód swojej wartości. Scena jest wzruszająca. Piękno folkloru wydobyte tak po prostu. Ludzie utalentowani nie są dzisiaj zaniedbani. Dla prawdziwych talentów jest u nas otwarta droga. „Dziewczyna z książką” jest tego potwierdzeniem.

H. D.

O „ZOŚCE“ I „PARASOLU“

ALEKSANDER KAMIŃSKI: „Zośka” i „Parasol”. Opowieść o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerskich. Wydawnictwo „Iskry” 1957, s. 645, 1 nlb. Cena zł 40.—

Pamiętniki żołnierzy baonu „Zośka”. Powstanie Warszawskie. Wydawnictwo „Nasza Księgarnia” 1957, s. 527, 1 nlb. Cena zł 36.—

W dzieje polskiego bohaterstwa ostatnia wojna wpisała karty najkrwawsze i chyba najbardziej wzniosłe. A wśród nich bezprzykładny poryw Powstania Warszawskiego, w którym obrońcy ginęli wraz z miastem, dając swym życiem i śmiercią świadectwo prawdzie, iż za wolność nie ma zapłaty zbyt wysokiej. I jeżeli zawsze w naszej trudnej historii rząd dusz nad narodem sprawowała nasza wielka literatura — to w tych dniach zespoliła się ona z narodem w jedno. Bohaterowie Sienkiewicza, Żeromskiego objęli służbę na barykadach, każda placówka powstańcza stawała się Redutą Ordona, młodzież warszawska z najwyższym uniesieniem i poświęceniem wypełniała Testament Słowackiego. Słowo stało się ciałem.

„Autor nie jest powieściopisarzem, a książka, którą czytelnik otrzymuje do rąk — nie jest powieścią” — pisze Aleksander Kamiński we wstępie do „Zośki” i „Parasola”. A potem zaczyna się opowieść pełna prostoty i pozbawiona w słowach patosu o ludziach i zdarzeniach prawdziwych, o sytuacjach rzeczywistych — tak jednak



Aleksander Kamiński,
wybitny działacz harcerski, historyk i pedagog, założyciel i komendant organizacji „Małego Sabotażu” WAWER, redaktor naczelnego organu AK „Biuletyn Informacyjny”, autor „Kamieni na szaniec”, „Zośki i Parasola” oraz innych książek, jest obecnie przewodniczącym Rady Naczelnej Związku Harcerstwa Polskiego.

wstrząsających i nieprawdopodobnych, jakby stworzyło je nie życie, lecz wyobraźnia pisarza. Wiemy przecież, że to prawda, ba! że to tylko część okrutnej i wzniosłej prawdy, zaledwie fragmenty całości walk powstańczych. Fragmenty zresztą nie przypadkowe i z wielu przyczyn niezmiernie ważne dla poznania naszej tak jeszcze niedawnej, a tak mało znanej historii.

Nowa książka Kamińskiego jest dalszym ciągiem jego pięknych „Kamieni na szaniec”. Trójka bohaterów tamtej opowieści: poległy w akcji dywersyjnej pod Sieczychami komendant Grup Szturmowych „Zośka” (Tadeusz Zawadzki), zakatowany przez Gestapo „Rudy” (Jan Bytnar) i „Alek” (Aleksy Dawidowski) zmarły z ran odniesionych przy odbijaniu „Rudego” pod Arsenalem — żyją tu nadal symbolicznie i, rzecz niezwykła, niemal dosłownie. Symbolicznie, gdy ich pseudonimami koledzy ochrzcili swe formacje bojowe. Dosłownie — znajdując zwielokrotnionych spadkobierców swego męstwa, poświęcenia, patriotyzmu i tych szczególnych cnót „szaroszeregowych”, które do walki zbrojnej wносиły element wielkiej czystości moralnej i współodpowiedzialności za losy narodu. Walka zbrojna nie jest dla nich celem, lecz jedynie środkiem, koniecznym do przebycia etapem zmagania się z wrogiem. Cel jest tylko jeden, wspólny dla wszystkich: budowanie Polski wolnej i sprawiedliwej.

„To prawda — pisze Czarny Jaś w liście do ojca — jesteśmy jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec. Ale rzucone nie w nicłość, nie na zmarnowanie. Jeden przy drugim twardo stoją, trzymając się razem. Jak cegła przy cegle. Wznoszone są ściany wielkiego domu. To nic, gdy przyjdzie być martwą, nieruchomą cegłą tego domu. Byleby dom był wielki i piękny”.

Tak myślą nie tylko najczystszy nosiciele ideałów harcerskich, Piotr Pomian, Czarny Jaś, Rafał, zdobywający się na akty militarnego bohaterstwa wbrew swej nie żołnierskiej naturze; szalenie odważni i, można by sądzić, wyżywający się w akcji zbrojnej — Andrzej Morro, Jeremi, Giewont, Książę, poeta Bonawentura i tylu, tylu innych, toczą nieustanną walkę o charakteru ludzkie, o utrzymanie równowagi moralnej w tych strasznych czasach pogardy dla człowieka. „Młodzież «Zośki» i «Parasola» — pisze Kamiński — nie stanowiła grupy wyjątkowej pod względem ofiarności i bohaterstwa wśród licznych oddziałów Armii Krajowej i innych grup walczących. Polska młodzież w tym ciężkim okresie odsłoniła bardziej niż kiedykolwiek swe wartości. Jednak młodzi ludzie «Zośki» i «Parasola» swoją walkę i służbę pojmowali szerzej niż niektóre inne oddziały ruchu zbrojnego: pragnęli służyć krajowi «dziś, jutro i pojutrze», aby w życie wprowadzać ideały braterstwa i bezinteresownej, ołiarnej służby oraz ideał świadomego obywatela, dźwigającego z własnej chęci współodpowiedzialność za losy narodu i państwa podczas wojny i pokoju. Ideały te realizowane były w walce z wrogiem oraz w walce z własnymi słabościami i błędami.”



„Andrzej Morro”



„Bonawentura”

Wyrosłe z drużyn harcerskich, zahartowane w akcjach dywersyjnych Grup Szturmowych, przeszkolone wojskowo w konspiracyjnej podchorążówce bataliony „Zośka” i „Parasol” stają do Powstania, jako jedne z najlepiej uzbrojonych i przygotowanych formacji akowskich. Im też przypadają w udziale same zadania trudne, nieraz najtrudniejsze, nieraz ponad siły i wytrzymałość ludzką. Nie poddają się nigdy i nigdy się nie załamują. Gdy rzeczywistość staje się zbyt ciężka, najczęściej rozjaśniają ją humorem, czasami, jak 19-letni poeta Bonawentura, zamarzają o innym, tak dla nich nierealnym świecie:

„— Czemuż ty, Bonawentura, nic teraz nie tworzysz? Przecież o tych chwilach tak się dawniej marzyło. Pamiętam doskonale twoją „Wizję”:

Ej, jeszcze kiedyś gruchną strzały,
polecą miastem tupot nóg,
błyśnie w ciemności orzeł biały
i zadrży wróg.

Bonawentura uśmiechnął się blade.

— Wiesz, Michał, może i dobrze, że nic obecnie nie piszę, bo byłby to dziwaczny pamiętnik poetycki powstańca. Nie wiem, skąd się to bierze, ale gdybym dziś utrwałała na papierze swoje uczucia, pisałbym takie na przykład zwierzenia:

Nikt się o mojej miłości nie dowie,
nikomu miłość się moja nie przyśni,
świeższa niż wiatru wiosennego powiew,
bielsza od kwieciami obsypanej wiśni.

— No, pomyśl, Michał, czy coś podobnego można dziś pisać?"

Nie stworzy już nigdy żadnego wiersza. W godzinę po tej rozmowie ginie od bomby niemieckiej — Bonawentura — Janek Romocki, młodszy brat Andrzeja Morro. Starszy brat przeżyje go niecały miesiąc. Odchodzą prawie wszyscy — nieustraszone dziewczęta z łączności i sanitariatu, pełniące swą służbę w huraganie ognia, bohaterscy chłopcy, „którzy gwałcąc po wielokroć instynkt życia walczyli o wolność czyniąc i przeżywając rzeczy nieludzkie”.

Szlak bojowy „Zośki” i „Parasola”: Wola — Starówka — Czerniaków — wytacza duży szmat historii Powstania Warszawskiego w ogóle. Toteż relacja o ich walkach, opowiedziana przez Kamińskiego na podstawie wspomnień nielicznych ocalałych uczestników i wsparte własnym doświadczeniem i obserwacjami autora ma wagę niezwykle cennego dokumentu dla badaczy naszych dziejów najnowszych. Ale nie tylko to. Wartość książki ma szersze i głębsze znaczenie. Dzięki niej pozostanie w naszej literaturze wzruszający pomnik utrwalający dla przyszłych pokoleń pamięć najwyższej i najbardziej bezinteresownej ofiary złożonej w służbie ojczyźnie. I wzór, uczący nie tylko sztuki pięknego umierania, ale i trudniejszej sztuki pięknego życia.

Książkę Kamińskiego czyta się ze ściśniętym sercem. Niepodobna pogodzić się bez buntu z okrutną, bezlitosną śmiercią najlepszych z pośród nas, z ich straconą, zaprzepaszczoną młodością. Czy tak wielka ofiara była konieczna? Odpowiadają na to sami ustami umierającego powstańca:

„— My, cóż my? Najważniejsze: poświęcenie... Daliśmy dużo... Żeby ci po wojnie to zrozumieli...”

I jeszcze jedna rozmowa, tak znamienita dla tej pięknej młodzieży: Ostatnia releta obrony przyczółka czerniakowskiego — dom przy ulicy Wilanowskiej 1. Po całodziennym odpiernaniu morderczych ataków czołgów, strudzona do nieprzytomności, głodna, spragniona, zewsząd otoczona przez wroga garstka straceńców gromadzi się na krótki wypoczynek.

„Oto leży ich i siedzi kilku, stłoczonych ponad miarę w załomie korytarza piwnicznego. Mają oddechy równe, spokojne. Jest tak ciemno, że twarzy nie widać, nie bardzo się nawet znają: ktoś od „Kryski”, ktoś z „Parasola”, paru z „Zośki”, dwie łączniczki nie wiadomo z jakiego oddziału.

Po długiej ciszy jakiś zachrypnięty głos — zdaje się ten od Kryski — wymówił dwa słowa.

— Przerznięliśmy Powstanie.

Milczenie.

— Przerznięliśmy jak jasna cholera — odezwał się wreszcie inny.

Z dalszego kąta wtrącił się do dialogu trzeci głos, głos prawdopodobnie któregoś z ciężej rannych, gdyż co parę słów łapał nerwowo oddech.

— Przerznięcie to nie wszystko. Z bitwami i wojnami bywa... że czasem są przerznięte... ale jednak dają... stupieruńską siłę...

— Jak to?

— A chociażby... Termopile... Albo Kościuszko...

Znów milczenie. I wreszcie — któraś z dwóch dziewcząt::

— Dziwne to. Niby przegraliśmy, a ja też nie czuję, żeśmy przegrali.

— A jednak przerznięliśmy — z uporem powtórzył zachrypnięty. — Fakty mówią. I czy był w tym wszystkim sens?

Ciężko ranny jeszcze raz przemówił swym przerywanym głosem.

— Nie. Daliśmy miastu dwa miesiące wolności... Naszymi rękami... I choć nie z tarczą wrócimy, ale na tarczy — to jednak na tarczy.

Nikt się już nie odezwał.”

Żeby ci po wojnie to zrozumieli... Pamiętajmy te słowa. Jest to obowiązek nas, żywych, wobec naszych poległych. Kamiński nam to przypomina swą książką, piisaną sercem i chwytającą za serce. Czytajmy tę wstrząsającą i porywającą książkę i dajmy ją czytać naszej młodzieży. Niech się z niej uczy braterstwa, koleżeństwa, ofiarności w służbie publicznej i wierności wartościom moralnym, cenniejszym nad życie.

Autorowi udało się zgromadzić w swej książce wiele fotografii poległych bohaterów. Jest to również wzruszająca i cenna pamiątka.

Wydane niemal równocześnie „Pamiętniki żołnierzy baonu «Zośka»” są jakby rzeczową dokumentacją i uzupełnieniem opowieści Aleksandra Kamińskiego w części dotyczącej walk Powstania Warszawskiego (tam mamy dzieje dwóch harcerskich batalionów i nie tylko w dniach powstańczych, lecz i w poprzedzających je najważniejszych akcjach Wielkiej Dywersji).

Z wielką radością odnajdujemy tu wśród żyjących kilkanaście osób, których pseudonimy przewijały się przez karty tamtej książki. Opowiadają nam teraz swe wspomnienia — Ali, Andrzej Pol, Boruta, Czart, Jeleń, Kur, Kmita, Laudański, Leszczyc, Marek, Miś, Pani Stasia, Synon, Wiktor (Kadłubek), Zosia i Zygmunt. Autorem kilku opowiadań, a także redaktorem całości jest Tadeusz Sumiński - Leszczyc, znany nam z książki Kamińskiego uczestnik słynnej powstańczej odysei Księcia.

Z tych fragmentarycznych wspomnień pamiętnikarskich, mimo że pisanych przez ludzi dalekich od ambicji literackich, wyłania się obraz niezapomniany. Ich autentyzm ma nie tylko wielką wartość dokumentalną, lecz również niezwykle sugestywną barwę uczuciową.

Książka uzupełniona jest krótkim zarysem Powstania oraz listą poległych, zawierającą pseudonimy bojowe, prawdziwe nazwiska i wiek. Lista jest, niestety, niepełna, a wspomnienia fragmentaryczne. Sumiński pisze we wstępie do książki:

„Całość materiału nie obrazuje jednak, nawet w przybliżeniu, historii powstańczych walk baonu. Wiele ważnych akcji nie zostało nawet wspomnianych, podobnie jak i ogromna większość żołnierzy «Zośki» w ogóle nie jest w pamiętnikach wymieniona. (Nie jest np. opisana żadna z akcji Giewonta).

Uzupełnienie tych braków jest często niemożliwe, ponieważ w licznych wypadkach spośród uczestników wielu akcji lub żołnierzy niektórych plutonów nie przeżył Powstania ani jeden człowiek”.

Jak straszliwa jest wymowa tych słów.

H. Przewoska

Z cyklu **Bibliotekarstwo Powszechne** ukazała się już praca zbiorowa pod redakcją naczelną Ewy Pawlikowskiej

ORGANIZACJA I URZĄDZENIE BIBLIOTEKI

T r e ś ć:

Ryszard Przelaskowski — Biblioteka i jej organizacja. Planowanie i sprawozdawczość biblioteczna. Edward Kossuth i Franciszek Sedlaczek — Lokal i urządzenie biblioteki.

Cena zł 22.00

DALSZE DZIEJE WYPRAW KRZYŻOWYCH

ZOFIA KOSSAK: **Król trędowaty**. Wyd. V. "PAX", W-wa 1957, s. 264, 4nlb, zł. 25,00.
— **Bez oręża**. Wyd. V. "PAX", W-wa 1957, s. 451, 5nlb, zł. 35,00.

„Król trędowaty” i „Bez oręża” stanowią trzecią część trylogii historycznej Zofii Kossak, zapoczątkowanej „Krzyżowcami”; są opowieścią o dalszych dziejach wypraw krzyżowych aż do ich kłęski w r 1220. *)

„Historia się powtarza” — to tytuł jednego z rozdziałów „Bez oręża”, niezmiernie charakterystyczny dla zmiennych kolei panowania Chrześcijan w Ziemi Świętej. Ze zdumiewającą wprost dokładnością, mimo różnicy czasu i działających osób, popełniają krzyżowcy wciąż te same błędy, decydujące o losach królestwa Jerozolimskiego. Bohaterstwo graniczące z szaleństwem w chwilach decydującej walki, ustawicznie przeplata się z kunktatorstwem, fałszywymi ambicjami, brakiem rozsądnej myśli politycznej w okresach pomyślności. Ostatecznie sami muzułmanie stwierdzają, że niesposób zrozumieć natury Franków — (jak nazywają Chrześcijan) to niedołącznych, zdradzieckich, sprzedajnych, to znów dzielnych jak lwy, gorących jak płomień.

Trędowaty król Baldwin IV, przywiązany pasami do siodła, by nie spaść z konia, osobiście prowadzi do walki nieliczne oddziały rycerstwa i odnosi wspaniałe zwycięstwo nad wielokrotnie przeważającymi siłami sułtana. Cóż z tego jednak, kiedy w krótki czas potem bezmyślność wyniesionej na tron królewskiej siostry Sybilli, nieudolność jej męża, pięknego rycerza Luzyniana i intrygi skłóconych ze sobą baronów doprowadzają w r. 1187 do utraty Jerozolimy.

Podobnie mają się sprawy i później. Co zyskał dzielnością i rozwagą król jerozolimski Jan de Brienne, to zaprzepaszcza nie liczący się z niczym poza własną ambicją naczelny wódz ostatniej wyprawy krzyżowej, kardynał Pelagiusz z Albano.

„Dziwaczne plemię” — słusznie powiadają muzułmanie. „Plemię” zdolne w porywie fanatyzmu religijnego zgodzić się na wyprawę krzyżową dzieci wierząc, że ich niewinność musi spowodować cud, „plemię” urodzonych bohaterów i nieudolnych polityków. Głupota i szaleńcze męstwo tworzą jakby zaczarowany krąg, którego krzyżowcy nie potrafili przerwać od pierwszej po ostatnią wyprawę.

Mimo jednak wspólnych cech, pomiędzy pierwszymi krzyżowcami a społecznością **Króla trędowatego** i **Bez oręża** istnieją też głębokie różnice. Ci pierwsi to świt i najczystszy poryw wiary, to najwcześniejsze zetknięcie Zachodu ze Wschodem, to zdumienie, niewierność i pogarda dla innych obyczajów, dla przejawów nieznannej cywilizacji.

Z biegiem lat w psychice Europejczyków zachodzą gruntowne zmiany:

„Dawno minęły czasy, gdy pierwszy król jerozolimski Godfryd przyjmował posłów sułtana siedząc na ziemi w namiocie, a na ich zdumienie odparł, że pył z którego człowiek powstał, proch w którym się po śmierci obróci, najstosowniejszym jest dlań i za życia siedziskiem. Prostota pierwszych rycerzy dawno przeminęła. Już Baldwin I z Edessy otoczył się wschodnio-bizantyjskim przepychem, a następcy jego szli tą samą drogą”. („Król trędowaty”, s. 31).

Wnukowie krzepkich rycerzy łatwo przyswoili sobie wykwiint zbytek i finezję wschodniego życia. Więcej obchodzą ich teraz własne księstwa i majątki niż sprawy wiary. Miejsca święte oglądane własnymi oczami straciły urok tajemniczości, spowszedniały. Stała się rzecz nieprzewidziana: wielka, jedyna w historii krucjata, podjęta w imię utwierdzenia potęgi Kościoła, nie tylko potęgi tej nie wzmocniła lecz

*) Patrz: recenzja z „Krzyżowców” w „Poradniku Bibliotekarza” 1957 nr, 10/11.

przeciwnie — zachwiała ją. Poznawszy bliżej świat muzułmański niejednen z dobrych rycerzy przyznaje, że — może nie wiara — lecz obyczaje wrogów nie gorsze są od ich własnych.

Kościół wzywając do udziału w wyprawach krzyżowych nie przewidywał wszystkich skutków, jakie to za sobą pociągnie. Wzbogacone rycerstwo, obyte ze wschodnim przepychem i swobodą obyczajów nie lęka się już tak bardzo kar piekielnych, umysły wyzwolone z mroków średniowiecza niełatwo ugną się nawet przed groźbą klątwy. Wschód posiał w nich ziarno zwątpienia, zaszczepił umiłowanie bujnej, cielesnej radości.



Zofia Kossak, autorka trylogii o wyprawach krzyżowych powróciła wiosną b. r. do kraju po 12-letnim pobycie w Anglii. Na fotografii: tradycyjne powitanie wybitnej pisarki chlebem, solą i kwiatami na lotnisku warszawskim.

Dzieło, które Kościół wznosił własnymi rękami, teraz przytłacza go swym ciężarem. Nic dziwnego też, że papież Innocenty III łamie ręce i we śnie widzi, jak pęka i kruszy się potężny mur wiary katolickiej.

Kto powstrzyma rozbudzone zmysły, wybujałe ambicje, myśl niespokojną szukającą nowych prawd, obalającą stare, uświęcone obyczaje? Kto przywróci Kościołowi zachwianą potęgę, odbuduje wiarę w jego nieomylność? Te pytania raz po raz przewijają się przez karty **Bez oręża**. Przegrana została sprawa Ziemi Świętej, ale czy przegrano również sprawę stokroć ważniejszą — utrwalenia wiary w sercach ludzkich?

Nie! Oto przez chrzest zbroi i zgiełk namiętnych sporów przedziera się wieść o człowieku najpokorniejszym i najpotężniejszym zarazem, o biedacynie, który pragnie jednego tylko: służyć ludziom — służyć Bogu — o świętym Franciszku Asyżu.

Mimo surowości reguły gromadzi się wokół niego coraz liczniejszy krąg braci. Wstępujących do bractwa obowiązuje absolutne ubóstwo, bo ten, kto cokolwiek raz posiędzie, nie oprze się aby nie zapragnąć więcej.

Franciszek nazywa siebie najędźniejszym stworzeniem świata, ale w nim to właśnie, nie w kim innym, widzi papież siłę zdolną na nowo rozniecić żywy płomień wiary.

Wprawdzie, gdy Franciszek wyrusza z pielgrzymką do Ziemi Świętej, pierwotna czystość i surowość reguły zostaje zachwiana. Zastępujący go bracia nie mogą obronić się chęci oparcia zakonu na mocniejszych materialnych podstawach. W zapomnienie idzie tak surowo przestrzegany warunek zupełnego ubóstwa. Zamiast zadowolili się — jak dawnymi czasu — kamieniem pod głowę i kromką wyżebranego chleba — franciszkanie wnoszą piękne kościoły, szkoły, klasztory. Na wieść o tym Franciszek wpada w rozpacz, rozumie bowiem, co oznacza osiadły spokój, który każe więcej troszczyć się o mury swego domu, niż o służbę ludziom i Bogu.

A zatem znowu klęska? Czy znaczy to, że żadna idea nie może trwać długo w sercach ludzi, że każda z góry skazana jest na zagładę?

Tak nie jest. W chwili rozpacz Franciszek dowiaduje się, że siostra Klara, przełożona franciszkanek nie odstąpiła od pierwotnej reguły. Nie ma zatem powodu do rozpacz. Tam gdzie wielu jest wyznawców, część musi odpaść, jeśli jednak zostanie choć jedno zdrowe ziarno — starczy go na siew.

„Bez oręża”, książka o zmierzchu wielkiej idei, kończy się więc akcentem optymistycznym. Naturalny bieg rzeczy sprawia, że wszystko, nawet to, co wydawało się najtrwalsze, niezachwiane — przemija, ale w człowieku istnieje wrodzona potrzebna potrzeba dobra, piękna i prawdy, którą życie może czasem przytłumić, ale nigdy zniszczyć nie zdoła.

Tak jak **Krzyżowców i Króla trędowatego — Bez oręża** czyta się jednym tchem, do końca; do ostatniej karty nie zawodzi wielki kunszt pisarski Zofii Kossak.

Anna Bańkowska

Zofia Vogel

ŚLADAMI WYSPIAŃSKIEGO PO KRAKOWIE W PIĘCDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI 1907—1957

Kraków chlubi się tym, że w murach swoich posiada wiele pamiątek narodowych, że tutaj żyli i pracowali sławni poeci, powieściopisarze i artyści. Przechoźdźmy ulicami miasta, mijamy stare kamienice, spacerujemy po Plantach i nie myślimy o tym, że mijamy domy, gdzie tworzyli wielcy ludzie. Po ulicach i Plantach idziemy śladami naszych sławnych powieściopisarzy, muzyków, czy myślicieli.

W Krakowie też urodził się, żył, pracował i umarł jeden z najwybitniejszych naszych poetów i malarzy — Stanisław Wyspiański.

Wawel, Skałka, Wisła, Kraków cały i jego okolice, wszystko co z Krakowem związane, z jego przeszłością, historią, legendą, czy literaturą było mu od najmłodszych lat bliskie i znane — później ożyło w jego utworach.

Stanisław Wyspiański urodził się 15.I.1869 r. w domu przy ul. Krupniczej 26. (Dom ten należał później do żony prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego J. Szujskiej, do S. Tarnowskiego i J. Mehoffera).

W roku 1872 przenieśli się Wyspiańscy do Domu Długosza przy ul. Kanonicznej. Tutaj Franciszek Wyspiański, ojciec poety miał swoją pracownię rzeźbiarską. Okna pracowni wychodziły na zamek. Już od dziecka miał poeta przed oczyma „skarbnicę narodową” Wawel. Wawel był wspólnym motywem obu dziedzin twórczości poety i malarza.

Franciszek Wyspiański artysta-rzeźbiarz były przyjacielem Matejki. Biograf poety, Hoesick, notuje:

W Krakowie, w kościele św. Piotra stoi wspaniały posąg generała Florkiewicza, kuty z marmuru przez Wyspiańskiego. W latach 1863-4 Franciszek Wyspiański należał do kółka towarzyskiego w Krakowie, utworzonego przez pracujących na gruncie krakowskim artystów i pisarzy, między którymi byli: Matejko, Grottger, Zeleński, Kubala, Bałucki, Lubowski i w. inn.”.

W Ogrodzie Botanicznym w Krakowie stoi pomnik marmurowy Józefa Warszewicza, zasłużonego botanika, ogrodnika i badacza flory Ameryki Południowej. Z jego imieniem związany jest wspaniały rozwój Ogrodu Botanicznego w Krakowie. Pomnik ten jest dziełem ojca poety. Najlepsze dzieło Franciszka Wyspiańskiego, o którym potem napisał Stanisław Wyspiański, iż uczuciem, ale nie rozumem je obejmował — to rzeźba „Wisła i Wawel”.

O Domu Długosza pisał sam poeta:

„U stóp Wawelu miał ojciec pracownię,
wielką izbę białą wysklepioną,
żyjącą figur zmarłych wielkim tłumem;
tam, chłopiec mały, chodziłem, co czułem
to później w kształty mej sztuki zakulem.
Uczuciem wtedy tylko, nie rozumem
obejmowałem zarys gliną ulepioną
wyrastający przede mną w olbrzymy:
w drzewie lipowym rzezane posągi”.

W Domu Długosza zmarła Maria Wyspiańska (1876) matka poety. W tym domu mieszkał poeta do r. 1880. Od tego roku wychowaniem poety zajęła się ciotka Joanna Stankiewiczowa, która mieszkała przy ul. Kopernika 1. Jak podaje prof. Sinko, wujostwo Stankiewiczowie zapisali małego Stasia do szkoły „ludowej” przy seminarium męskim, mieszczącym się w domu Larischa (przy Pl. WW. Świętych 6). Wejście było od ul. Brackiej (dziś nr 12) przez bramę z pięknymi filarami o wyglądzie prawdziwie pałacowym. Klasy były na I piętrze. Obecnie na parterze tego budynku mieści się Miejska Biblioteka Publiczna, na piętrach biura Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

W latach 1879—1887 uczęszczał Stanisław Wyspiański do gimnazjum św. Anny (dziś gimnazjum Nowodworskiego, Groble 9). W roku 1932 odsłonięto w tym gimnazjum pamiątkową tablicę. Na tablicy widnieje medalion dłuta Korosadowicza i napis:

Gimnazjum Nowodworskie
STANISŁAWOWI WYSPIAŃSKIEMU
swojemu uczniowi z lat 1880—1887
w 25-tą rocznicę śmierci
1932



W 1887 r. Stanisław Wyspiański zapisał się do Szkoły Sztuk Pięknych (wówczas jeszcze nie nazywa się Akademią Sztuk Pięknych) i równocześnie na wydział filologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego nie ukończył, poświęcił się bowiem studiom rysunkowo-malarskim. Na wydziale antyków prowadzonym przez prof. Jabłońskiego wykazał Wyspiański tak wielki talent, że promowano go z wydziału pierwszego na wydział trzeci.

W 1889 r. powołał Matejko, dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych, najzdolniejszych uczniów tj. St. Wyspiańskiego, J. Mehoffera, Wł. Tetmajera i K. Maszkowskiego do pomocniczych robót przy polichromii kościoła Mariackiego w Krakowie. Stanisław Wyspiański od dzieciństwa wzrastał w kręgu słowy Matejki. Wszak mistrz Matejko odwiedzał pracownię rzeźbiarską ojca poety, potem przychodził do wujostwa Stankiewiczów, a wreszcie Wyspiański był jednym z najbliższych i najzdolniejszych uczniów jego pracowni. Wyspiański stale stykał się z Matejką, czy to w Szkole Sztuk Pięknych, czy w pracowni, czy na rusztowaniu w kościele Panny Marii, czy wreszcie w domu. Nic też dziwnego, że Matejko wywarł ogromny wpływ na twórczość malarską Wyspiańskiego, szczególnie w okresie przed wyjazdem za granicę. Już wakacje pomaturyczne w 1887 r. i następne, podobnie jak Matejko, spędzał Wyspiański na wędrownościach po kraju. Wędrował z notatnikiem w rękę i przerysowywał stare ruiny zamczysk, stare kapliczki, domki w zapadłych miasteczkach, chaty wiejskie, odrzwia, kapitele itp. Rysunki te znajdują się dzisiaj w Muzeum Narodowym w Krakowie. Praca przy polichromii kościoła Mariackiego wywarła olbrzymi wpływ na jego twórczość malarską, oraz skierowała i zapaliła go do malarstwa dekoracyjnego. W tym kierunku szły później jego gorące pragnienia i plany artystyczne. Wyspiański robił kopie z rysunków Matejki i przeniósł je na ściany prezbiterium, dał barwne warianty dekoracyjnych aniołów, opracował kartony z herbami, projektował kilka szyb witrażowych do bocznego okna i wreszcie miał nadzór artystyczny nad wszelkimi pracami malarskimi.

Stanisław Wyspiański stale mieszkał u wujostwa Stankiewiczów przy ul. Zaccisze 2, Kolejowej i Poselskiej 10. Mieszkał u nich także po powrocie z zagranicy,

gdzie po raz pierwszy udał się po ukończeniu prac przy polichromii kościoła Mariackiego.

W mieszkaniu przy ul. Poselskiej 10 ukończył Wyspiański **Legendę i Warszawiankę**, pisał **Lelewela**, kończył **Meleagra**, **Protesilaosa** i **Laodamię**, tutaj malował witraże franciszkańskie i polichromię tego kościoła.

W kościele OO. Franciszkanów podziwiamy dzisiaj piękne witraże Wyspiańskiego w oknach prezbiterium wśród stylizowanych kwiatów błóg. Salomeę i św. Franciszka, nad chórem wspaniały grający cudownymi barwami witraż: „Stać się”. Ściany prezbiterium i nawy poprzecznej pokrył artysta wspaniałą polichromią z motywów kwiatowych, a w polach między oknami pomieścił kompozycje figuralne: Matki Boskiej, Caritas, św. Michała i Strącenie aniołów.

W 1898 r. przeniósł Wyspiański najpierw swoją pracownię na Plac Mariacki 9, a w 1899 r. zamieszkał tutaj na stałe. A. Waśkowski pisze:

„Dopiero w r. 1899, kiedy brał żywy udział w bujnym i nastrojowym życiu Młodej Polski, kiedy ze Stanisławem Przybyszewskim, Lucjanem Rydlem, Józefem Mehońerem i Włodzimierzem Tetmajerem do białego dnia przesiadywał w knajpie Turlińskiego, zwanej „Paonem” przy ul. Szpitalnej naprzeciw teatru, ustalił już własne, choć jeszcze kawalerskie gospodarstwo w pracowni przy Placu Mariackim”.

Na Placu Mariackim napisał **Klątwę**, **Legion** i **Wesele**.

W latach 1898—1899 był Stanisław Wyspiański kierownikiem artystycznym czasopisma „Życie”.

W 1900 roku wziął poeta ślub w kościele św. Floriana z Teofilą Spytkówną.

W listopadzie 1900 r. odbył się ślub Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną z Bronowic. Podczas tej uroczystości szlachecko-chłopskiej Wyspiański nie brał udziału w zabawie, lecz milcząco przypatrywał się jej. Bezpośrednio po tym napisał „Wesele”.

W 1932 r. (25-lecie zgonu Wyspiańskiego) na domu przy placu Mariackim 9 odsłonięto pamiątkową tablicę z portretem Wyspiańskiego dłuta artysty rzeźbiarza Karola Hukana. Napis na tablicy brzmi:

W domu który stał
na tym miejscu
STANISŁAW
WYSPIAŃSKI
pisał „Wesele”
1900/1901

Przez szereg lat mieszkał Wyspiański przy ul. Krowoderskiej 79 na II piętrze. Tutaj też miał artysta swoją pracownię utrzymaną w tonie szafirowym. Z okien mieszkania roztaczał się widok na Błonia i kopiec Kościuszki. To też malował Wyspiański liczne pejzaże z kopcem, zimą i latem, rankiem i po zachodzie słońca, w jasne słoneczne dni i po deszczu, w tonach ciemnych i jaskrawych. Szczególnie ulubione motywy malarskie Wyspiańskiego to widoki na kopiec Kościuszki i fragmenty Wawelu.

W r. 1902 Stanisław Wyspiański prowadził pracownię malarstwa dekoracyjnego w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w charakterze docenta. W r. 1904 ubiegał się Wyspiański o dyrekturę Teatru Miejskiego w Krakowie, której nie otrzymał. Natomiast w roku następnym został wybrany do Rady miasta Krakowa. Poeta bardzo gorliwie zajmował się sprawami miasta.

Należy jeszcze wspomnieć o pracy Wyspiańskiego przy restauracji kościoła św. Krzyża, dekoracji Izby Handlowo-Przemysłowej i Towarzystwa Lekarskiego, gdzie umieścił artysta witraż „System kopernikowski”. T. Boy Żeleński pisze:

„...kiedy budowano w Krakowie dom Towarzystwa Lekarskiego, prof. Nowak, entuzjasta Wyspiańskiego i jego przyjacieli, zapronował mu dekorację gmachu. Wyspiański przyjął z chęcią, skomponował śliczną poręcz dla której niestety klatka schodowa jest zbyt ciasna i uboga, witraż oraz wewnętrzne urządzenie sal.”

W roku 1906 przeniósł się już chory Wyspiański z Krakowa do małej wioski Węgrzce, leżącej na drodze do Ojcowa wśród uroczej ustroni nadwiślańskiej. Przebywał tutaj pod opieką żony. Dnia 10 listopada 1907 r. Wilhelm Feldman przewiózł chorego poetę do sanatorium dr Gwiazdomorskiego w Krakowie ul. Siemiradzkiego 1 (pokój na I piętrze).

Poeta zmarł w Krakowie dnia 28 listopada 1907 r. i został pochowany na Skałce.

Stanisław Wyspiański poeta-malarz urodził się i wzrósł pomiędzy Wawelem oczarowany majestatem i urokiem grobów królewskich a Wszeczną Jagiellońską, Wisłą i Kopcem Kościuszki. Ukochał też gorąco stary Kraków i sam wyznawał:

„O kocham Kraków — bo nie od kamieni
przykrościm doznał — lecz od żywych ludzi...”

TAM GDZIE ODBYŁO SIĘ PRAWDZIWE WESELE

Od ostatniego przystanku tramwajowego droga prowadzi prosto do Bronowic. Tą drogą jechało jesienią 1900 roku z Bronowic do kościoła Mariackiego wesele Lucjana Rydla, które stało się dla Stanisława Wyspiańskiego tłem tematycznym dla dramatu **Wesele**.

Po drodze do tzw. „Rydłówki”, mniej więcej w środku wsi mijamy dwa parterowe domki w których mieściły się kolejno karczmy Singerów stara i nowa. W tym czasie, gdy odbywało się wesele Rydla, w jednym z tych domków mieszkała z ojcem Pepą Singer — Rachelą z **Wesela** Wyspiańskiego (zmarła w 1955 r.) córka karczmarza, w drugim, w tzw. nowej karczmie, tańczyła część gości weselnych. Są to domki parterowe, przylegające do siebie, zachowane w dobrym stanie.

Z małej bocznej uliczki biegnie ścieżka do „Rydłówki”. Na tle zieleni olch i brzoź bieleje duży dom. Dom zbudowany jest w stylu mieszanym, nie można go nazwać ani dworkiem. ani też zwykłym domem, bo ma i niespotykane w zwykłych domach jakby podcienia od frontu, wnękę z ławeczkami (miejsce oświadczyń Rydla), gank nad drzwiami i mansardę. Dom jest duży, w roku 1900, gdy odbywało się tutaj wesele, był jeszcze kryty strzechą, teraz jest pokryty dachówką i rozbudowany. W tym okresie dom należał jeszcze do Włodzimierza Tetmajera, potem kupił go Lucjan Rydel od Tetmajera.

Obecnie w domu mieszka córka L. Rydla z rodziną i lokatorzy. Dla zwiedzających „Rydłówkę” dostępna jest tylko izba taneczna, tj. ta w której tańczyli goście weselni. Izby tej na scenie nie widzimy, tam wbiegają tylko pary i tańczą. Pokój jest duży, szeroki, jasne ściany, „strop drewniany w długie belki proste z wypisanym na nich Słowem Bożym i rokiem pobudowania”. Na belkach biegnie napis: **Pobłogosław nam Panie i to nasze mieszkanie zachowaj od ognia święty Florianie, 1894.** Napis dał Tetmajer. W pokoju zostały z najważniejszych rzeczy po Lucjanie Rydlu: biurko, szafa, zegar, piękna waza, wykonana przez artystę Laszczkę i jedno

krzesło. Z sześciu krzeseł projektowanych przez Stanisława Wyspiańskiego docho-
wało się tylko jedno. Na ścianach jest wiele obrazów wykonanych różną techniką.
A więc rzuca się w oczy duży portret Lucjana Rydla wykonany kredką przez Sta-
nisława Wyspiańskiego, olejne obrazy Isi z **Wesela** tj. Jadwisi najstarszej córki
Włodzimierza i Anny Tetmajerów, która ukończyła studia malarskie w Monachium,
jak np. żniwa, kościółek na górze św. Marcina pod Tarnowem, portret żony Tet-
majera malowany przez St. Wyspiańskiego i szereg innych.

Zgromadzone są tutaj fotografie rodzinne, listy i wycinki z prasy. Oto co czy-
tamy w 265 numerze „Głosu Narodu” z dnia 20 lipca 1900 roku pod nagłówkiem
„Kronika”. Ślub Lucjana Rydla. Autor **Zaczarowanego koła** się żeni! Taka wieść
obiegała Kraków od dłuższego już czasu. Powtarzano ją z tym większym zainteresowa-
niami, że wybranką znakomitego poety była, jak dodawano, uroczą córką włośc-
ciańska z Małych Bronowic, siostra żony Włodzimierza Tetmajera, głośnego arty-
sty-malarza, którego małżeństwo z włościanką było w swoim czasie wypadkiem
dnia w naszym mieście. Wieść okazała się prawdziwa — czytamy dalej w „Głosie
Narodu” —

„Właściwy termin ślubu znany był tylko najbliższym. Wiedzano jednak
powszechnie w mieście: że ślub nastąpić ma w tych dniach.. Już wczoraj
spodziewano się gości. Kościół Mariacki napelniał się rano publicznością, któ-
ra jednak doznała zawodu. Dziś dopiero o godzinie wpół do dziesiątej zaje-
chał orszak weselny przed główną bramę Mariackiego kościoła. Dwóch druž-
bów na koniach wyprzedzało wozy z weselną drużyną. Tłum kilkutyśieczny
przyjaciół, znajomych i wielbicieli talentu pana młodego, który zgromadził
się przed kościołem zwartą falą podążył do wnętrza świątyni. Równocześnie
w progu kościoła zamigotały jaskrawe barwy kierezyj i krasnych chustek
dziewcząt i nowa olbrzymia fala świadków weselnych napłynęła do wnętrza
kościoła ku głównemu wejściu. W pobliżu małej kaplicy Matki Boskiej Czę-
stochowskiej powstał ścisk nie do opisania, tak, że odezwały się głośne wo-
łania o pomoc. Po chwili dopiero uspokoiła się publiczność i względny za-
panował spokój. Przy uroczystych dźwiękach organów rozpoczęła się cere-
monia ślubu. Związek poety z włościańską dziewczyną, hożą Jadwisią, po-
błogosławił świętobliwy staruszek kapucyn O. Wacław. Wieść o odprawiają-
cym się ślubie popularnego autora „Zaczarowanego koła” zelektryzowała ca-
łe miasto. W krótkim czasie Rynek napelniał się ciekawymi. Na ustach wszy-
stkich były imiona młodych, a gdy po skończonym akcie kościelnym dzielni
krakusi na koniach pojawili się na mieście, wyprzedzając wozy z orszakiem
weselnym i tradycyjną muzyką, duża radość i szczerą życzliwość odmalowała
się na twarzach wszystkich — rzekłbyś, że pan młody całe miasto sprosił na
gody i wesele odprawia się na krakowskim Rynku”.

Wesele w domu Tetmajera było huczne, trwało dwa a może trzy dni, zaproszona
była cała wieś, z miasta rodzina, przyjaciele, cały światek malarski i poetycki
z Krakowa.

W „Rydłowie” są zdjęcia uczestników **Wesela**, a więc rodziny L. Rydla, niektóre
są zamieszczone w książce Anieli Łempickiej **O „Weselu” Wyspiańskiego**, gości
z miasta, a więc Zosi z „Wesela” tj. Zofii Pareńskiej, córki znanego lekarza, która
wyszła za mąż za Tadeusza Żeleńskiego, Radczyni — profesorowej Domańskiej,
ciotki L. Rydla, autorki powieści dla młodzieży (**Historia żółtej cizemki i Krysia
Bezimienna**), zdjęcia rodziny Tetmajerów, družbów ze wsi i Mikołajczyków, trzech
siostr, z których najstarsza Anna wyszła za Włodzimierza Tetmajera, druga Jadwiga
za poetę Rydla. Najładniejsza może ze wszystkich trzech siostr, malowana przez

najznakomitszych malarzy, była narzeczoną jednego z najzdolniejszych uczniów Matejki, malarza — pejzażysty Ludwika, Stanisława de Laveaux, który zmarł w Paryżu na gruźlicę (Widmo w II akcie „Wesela”). Mąż jej, Wojciech Susel, chłop z Bronowic też zmarł na gruźlicę. Wysłała jeszcze raz za mąż za niższego urzędnika z magistratu. Koło niej snuło się jakieś widmo śmierci, dlatego też, jak widać z fotografii, w twarzy jej jest dziwna melancholia, ma w sobie coś zgaszonego. Oglądać jeszcze można zdjęcia innych gości weselnych, Jaśka — družbę, brata panny młodej, który zmarł w styczniu tego roku, Kaspra Czepca, krewnego Błożeja Czepca z „Wesela“, który ma obecnie 78 lat i mieszka do dziś w Bronowicach Małych i wielu innych.

Szkoda wielka, że nie udostępniona jest dla zwiedzających izba druga, tj. ta, która widoczna jest w „Weselu” (mieszkają w niej krewni de Laveaux), którą można by tak urządzić jak podaje Wyspiański we wstępie do dramatu. Okna tej izby wychodzą „do sadu tych śpiących drzew” gdzie rosła róża „Spowita w chochoł ze słomy”. Stąd też widać gościniec krakowski. Drzwi do tej izby są zamknięte, ale przypominamy sobie co pisał Boy-Zeleński:

„Wyspiański szczerze zapięty w swój czarny tużurek stał całą noc oparty o futrynę drzwi, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma. Obok wrzało weselisko, huczały tańce, a tu do tej izby raz po raz wchodziło po parę osób, raz po raz dolatywał jego uszu strzęp rozmowy”.

Z domem tym jest związane wiele wspomnień o naszych sławnych poetach i malarzach, w domu tym bywali ludzie ze świata artystycznego ówczesnego-Krakowa, dlatego też powinien być cały udostępniony dla zwiedzających i zamieniony na muzeum pamiątek. Niestety na razie tak nie jest.

Z powyższym tematem związane są następujące książki:

ŁEMPICKA ANIELA: O „Weselu” Wyspiańskiego (Wyd. 1). Wrocław 1955. Zakład Im Ossolińskich 8° s. 134, 2 nlb., tabl. 17, partretów 7.

SKOTNICKI JAN: Znałomi z tamtych czasów (Literaci, malarze, aktorzy 1892—1939). Kraków (1956) Wydawnictwo Literackie 8° s. 218, 2 nlb., ilustr.

WYSOCKI ALFRED: Sprzed pół wieku. Postowie napisał Tomasz Weiss. Kraków 1956 Państw. Instytut Wydaw. 8° s. 473, 3 nlb.

ZELEŃSKI TADEUSZ: Znasz li ten kraj?... i inne wspomnienia. Oprac. Władysław Kopaliński. Warszawa 1956. Państw. Inst. Wydawn. 8°, s. 581. Na k. tyt. autor Tadeusz Zeleński (nazw.) (Boy) (pseud.).

Z. Vogel

Czy zaopatrzyłeś się już w

INFORMATOR BIBLIOTEKARZA na rok 1958

Podręczna encyklopedia pod redakcją naczelną Krystyny Remerowej, niezbędna dla bibliotekarzy bibliotek wszystkich typów, przydatna w pracy nauczycielstwa, działaczy społecznych i kulturalno-oświatowych oraz starszej młodzieży szkolnej — zawiera bogaty materiał informacyjny z zakresu bibliotekarstwa, wiedzy o książce, a także liczne wiadomości historyczne i geograficzne o Polsce i świecie współczesnym.

224 strony druku na wysokogatunkowym papierze

Cena zł 20.00

Jeśli chcecie zapewnić sobie otrzymywanie czasopism fachowych SBP od stycznia 1958 roku nie zwlekajcie ze zgłoszeniem prenumeraty, pod adresem: **Administracja Wydawnictw SBP, Warszawa, Koszykowa 26.** Prenumeratę należy wpłacać na konto **PKO-I-9-120056** lub **NBP-VII O/M 1531-9-1383.**

PORADNIK BIBLIOTEKARZA

Miesięcznik instrukcyjno-metodyczny przydatny w pracy bibliotekarzy wszystkich sieci bibliotek. Przynosi co miesiąc 32 strony druku: artykuły metodyczne, materiały szkoleniowe, rozmowy ze współczesnymi pisarzami polskimi, omówienia najciekawszych nowości książkowych, kącik porad bibliotekarza szkolnego, przegląd doświadczeń bibliotekarzy z terenu.

Prenumerata roczna zł 36,00

BIBLIOTEKARZ

Organ fachowy SBP i Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy. 32 strony miesięcznie.

Prenumerata roczna zł 42,00

PRZEGLĄD BIBLIOTECZNY

Kwartalnik naukowy bibliotekoznawczy, co trzy miesiące 96 stron druku i 32 dodatku „Przegląd piśmiennictwa o książce”

Prenumerata roczna zł 48,00

Nakład czasopism jest ograniczony. Prenumeraty przyjmowane będą w kolejności zgłoszeń.